

...były zrzuty i przerzuty, vis, bryczesy, długie buty

był las - dziś spółdzielnia „Las”

Jan Krzysztof Kelus

„Piosenka o wuju, historii i przypadku”

bibula

Stowarzyszenie Wolnego Słowa

sws.org.pl

ISSN 1733-6252

czerwiec 2007

MYDŁO I POWIDŁO

To już 5 zeszyt naszej „Bibuly”. A w nim, ktoś powie „mydło i powidło”. Sprawy nieznanne i bardziej znane, pierwsze kroki, a tak naprawdę wiele pierwszych kroków. Radio „Solidarność”, opozycyjny kontrwywiad, opozycyjna telewizja, a obok tego pionierzy: Wojciech Ziębiński i jego klepsydry, Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Ta różnorodność tylko na pierwszy rzut oka wygląda na chaos. Tak było.

Było „mydło i powidło” i były różne drogi i pomysły na życie i uprzykrzanie życia niekochanemu systemowi.

Jan Strękowski

Wspomnienie Sławka Kretkowskiego „Kreta”
o Wojciechu Ziemińskim

Kasztanka mnie bił!

Ziębę, bo najpierw znany był pod taką ksywką, poznałem w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej na początku lat sześćdziesiątych.

Wypchnęła mnie tam mama, żeby jakoś zrównoważyć wpływ bardzo komunistycznej szkoły. Wówczas jeszcze nie mogła wiedzieć, że uczą się w niej, razem ze mną, przyszli komandosi. A Ziemiński nie tylko, że był członkiem KIK, to jeszcze współpracował, głównie zresztą jako grafik, z redakcją „Więzi”.

Jego wzrok spoczął na mnie – jak myślę – z przyczyn rodzinnych. Pewnie sobie pomyślał, że skoro już dziadek siedział na Mokotowie za caratu, to jakby co, nie będzie taki wielki szok. Czy coś uzgadniał z mamą, nie wiem... Nie bez znaczenia musiało być to, że umiałem wywoływać i naświetlać zdjęcia fotograficzne.

Ziemiński na początku 1965 r. trochę, kilka miesięcy, siedział w areszcie. Pierwsze fotograficzne klepsydry wzywające na mszę św. w rocznicę odzyskania niepodległości 11 listopada zrobiłem w 1965 r. po wyjściu Zięby z więzienia. Autorem projektu graficznego był Zięba. Trochę rozesłał na znane sobie adresy, trochę sam rozklejał, a resztę to ja. Potem, dość szybko, doszli jacyś inni rozklejający, choć ja nie widziałem, kto to jest. Jak w konspiracji. No bo to właściwie była konspiracja.



Wojciech
Ziemiński

Najpierw mieliśmy kiepskie kleje krajowe, co bardzo ułatwiało ubecji, a może nawet zwykłym milicjantom, zrywanie klepsydr. Potem mieliśmy porządny klej ze Szwecji, nie do zdarcia. Zdaje się – nie wpadli na pomysł zamalowywania...

Z tym szwedzkim klejem też był jednak kłopot, bo zlepił szybko i solidnie, np. kieszeń kurtki. Trzeba było w kurtce nosić blaszane pudełko, a w nim tubkę z tym klejem. Wszystko trwało trochę dłużej, a poza tym czasem tubka przyklejała się do ścianek pudełka.

CDN str. 2

Kulisy kontrwywiadu Solidarności Walczącej

Złamanie fosy

Gdyby pokusić się o ocenę generalną, to na podstawie zachowanych w archiwach i udostępnionych do tej pory przez IPN dokumentów można stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że SB miała znacznie mniej wiedzy na temat działania Solidarności Walczącej (sposobów podejmowania decyzji w SW, funkcjonowania operacyjnego drukarni, kolportażu czy Radia SW itp.) niż Solidarność Walcząca wiedziała o metodach pracy SB.

Wiedzę tę SW zawdzięcza działaniom kontrwywiadowczym prowadzonym przez zespół nieżyjącego już Jana Pawłowskiego (Jan Gajos). Stworzył on, wraz ze współpracownikami, najprawdopodobniej najlepszy kontrwywiad w podziemiu lat 80.

Oceniając działalność zespołu Jana Pawłowskiego można stwierdzić, że największym dorobkiem całego zespołu kontrwywiadowczego SW było samodzielne rozpracowanie metod prowadzenia obserwacji i śledzenia „figurantów”. Sukcesem organizacyjnym było jednak przede wszystkim praktyczne wykorzystanie wiedzy pochodzącej z nasłuchu, tj. zorganizowanie systemu raportowania i komunikowania wybranych struktur organizacji (czasami nawet innych struktur opozycyjnych) o poczynaniach wydziału obserwacji SB.

Oprócz redagowania raportów z aktywności wydziału obserwacji SB, ostrzeżeń i zaleceń instruktażowych, jak rozpoznać, czy jest się śledzonym, jak zgubić obstawę, zespół Jana Pawłowskiego zinwentaryzował na terenie Wrocławia radiową infrastrukturę, techniczną MSW, wykorzystywaną przez SB.

Nawet z dzisiejszej perspektywy, charakter i zakres działań kontrwywiadu SW jest imponujący!

Fosa

Do dziś nikt z działaczy SW nie potrafi wyjaśnić skąd się wzięła „fosa” i od kiedy SB zaczęła jej używać. „Mów fosą – nie normalnie” – czasami można było usłyszeć w trakcie nasłuchu radiowego, gdy któremuś z esbeków zdarzało się przekazać niekodywaną informację.

„Fosa” składała się z kombinacji kilku elementów: kodów cyfrowych, żargonu/słangu, kryptonimów. Np. podsłuchana we Wrocławiu korespondencja radiowa kodowana „fosą”: *Do świerka na kolorkach 415 do kamienia* komunikowała wszystkim uczestnikom obserwacji (i zespołowi rozpoznania radiowego SW), że śledzona osoba – pojazd, jadąc ul. Świerczewskiego, skręca na światłach w prawo do pl. Kościuszki...

Najwcześniejsze doświadczenia z drugiej połowy lat 70. i początku 80. pozwoliły już po wprowadzeniu stanu wojennego i rozpoczęciu nasłuchów radiowych przez RKS, a następnie SW (ta sama ekipa!), analizować i tłumaczyć komunikację radiową szyfrowaną „fosą”. Prekursorem tej analizy i szczegółowego zbierania wszelkich informacji o pracy SB był jeszcze w okresie RKS-u Jan Pawłowski – późniejszy szef nasłuchu i kontrwywiadu SW. Wspólnie z Hanną Łukowską-Karniej, która ciągnęła za sobą „ogon”, analizował od stworzoną na podstawie jej relacji trasę przemieszczania się, i odsłuchując nagrane wcześniej rozmowy, dopasowywał do działań zespołu SB prowadzonego obserwację. Metodą żmudnej analizy i dedukcji zostały złamane w ten sposób numery kodowe typowych i powtarzalnych czynności, a także rozszyfrowano kryptonimy i lokalizacje, takie jak: „Szary” (hotel „Monopol”), „Biały” (hotel „Wrocław”, tu było

CDN str. 2

racyjnych transportach SW pojawiły się dopiero w drugiej połowie lat 80. Skanery były sprzętem profesjonalnym, wykorzystywanym także przez ówczesne służby wywiadowcze państw zachodnich, a w porównaniu do urządzeń łączności radiowej MSW był to sprzęt nokautujący technologicznie ówczesne wyposażenie SB i MO. (Sprzęt elektroniczny zabrany A. Kołodziejowi do dziś nie został zwrócony. Ciekawe, że był, i nadal jest na wyposażeniu ówczesnego MSW, a dziś Komendy Głównej Policji).

„Szkola” nasłuchu radiowego SW

Analizując skuteczność działań kontrwywiadowczych SW trzeba wspomnieć o roli, jaką odegrała SW w osłonie innych organizacji, ale też w rozpowszechnieniu podsłuchiwanego aparatu represji, jako metody prewencyjno-obronnej. Sporządzane raporty z działań wydziału obserwacyjnego „B” – kolportowano nie tylko wśród działaczy SW, ale starało się przekazywać informacje do zagrożonych – obserwowanych osób. (Jednym z wielu wówczas ostrzeżonych przez SW działaczy podziemia był obecny prezydent Wrocławia – Rafał Dutkiewicz). Informacje takie we Wrocławiu docierały w różnej formie m.in. do struktur RKS, NZS oraz Międzyszkolnego Komitetu Oporu/Międzyszkolnego Komitetu Uczniowskiego.

Jednak mimo wielu udanych ostrzeżeń nasłuch miał świadomość, że nie zawsze odpowiednie informacje dotrą na czas. Z kolei doświadczenia przy próbie nawiązywania kontaktów z przewodniczącym SW wskazywały również na zagrożenie agencji. Problemem były też, siłą rzeczy, ograniczone możliwości dotarcia do właściwych osób czy środowisk.

Rozwiązanie tych dychotomicznych sprzeczności wydawało się proste – zdecentralizowanie nasłuchu – tzn. wyposażenie poszczególnych komórek SW w urządzenia nasłuchowe. W wyniku tej decyzji podjęto praktycznie seryjną produkcję konwerterów do podsłuchu MO i SB. Do gotowych urządzeń dołączana była wydrukowana na matrycy białkowej ulotka z krótką instrukcją obsługi, opisująca m.in. sposób zrobienia anteny z odcinka drutu, i funkcje przełączników. Konwertery produkowane we Wrocławiu przekazywane były do innych ośrodków i oddziałów SW, ale też trafiały do wielu struktur podziemnych poza SW, a czasami nawet do grup środowiskowych.

Pracujący radioodbiornik z konwerterem miał największą szansę spełnić swoje zadanie w miejscach intensywnie odwiedzanych przez konspiratorów: skrynkach kolportażowych i ew. drukarniach. Drukarze na początku entuzjastycznie przyjmowali przekazywane konwertery, ale brak doświadczenia w inter-

pretacji komunikacji radiowej SB, a zwłaszcza cierpliwości w obsłudze sprzętu powodował, że po stosunkowo niedługim czasie drukarnie praktycznie przestały z nich korzystać.

Skanery, wyposażone w układ blokady szumów, umożliwiające automatyczne przeszukiwanie częstotliwości znacznie lepiej nadawały się do monitorowania aktywności SB. Nasłuch radiowy miał szansę spełnić swoje zadanie tylko w przypadku zorganizowania go jako „służby”, której jedynym zadaniem jest właśnie śledzenie działań przeciwnika w eterze, a nie podsłuchiwanie – przy okazji.

Skuteczność nasłuchu

Na skuteczność przestrzegania zasad konspiracji oraz ich efektywności można patrzeć z ówczesnej perspektywy – przez pryzmat zaistniałych wpadek, a także z perspektywy dziś dostępnych archiwaliów. SW była organizacją podziemną, która kładła duży nacisk na przestrzeganie konspiracyjnego BHP, odwołując się m.in. do tradycji Armii Krajowej. Z dzisiejszej perspektywy, dzięki upublicznionym przez IPN materiałom i informacjom na podstawie zachowanych archiwaliów MSW, wiadomo, że praca operacyjna SB – pozyskiwanie informacji, jak i dezintegracja środowisk opozycyjnych – oparta była głównie na pracy agencji, a nie na wysokim poziomie analizy dostępnych informacji.

Zupełnie inaczej rzecz się miała w przypadku działań kontrwywiadowczych SW, które były oparte właśnie na bardzo wysokim poziomie analitycznym i wyciąganiu wniosków, często z fragmentów lub wręcz strzępów informacji. Wykorzystywano wszelką dostępną wiedzę o metodach i działaniu aparatu represji zarówno z przeszłości (działalność MBP w okresie powojennym, np. prowokacja z V komendą WiN), jak i z bieżących wpadek szeroko rozumianej opozycji.

SW wiedziała o SB naprawdę bardzo dużo, np. rozpracowała miejsce pracy, w którym oficjalnie zatrudnieni byli tajni funkcjonariusze MSW, których zadania wymagały zachowania w tajemnicy jakichkolwiek związków z MSW. We Wrocławiu przykrywkę dla tajniaków pracujących w konspiracji dla „firmy” zapewniała Spółdzielnia Pracy „Plecionka” przy ul. Legnickiej. Jednak największym i najlepszym źródłem wiedzy o samej SB, ale też o metodach i technikach pracy był właśnie nasłuch radiowy. Dobrze ilustrują to różne przykłady.

Kiedy do Wrocławia przyjechała delegacja MRK „S” z Warszawy, miała dyskretną kuratelę SB. Wysłannicy MRK „S” oczekiwali, że uda im się zobaczyć z samym Kornelem Morawieckim, dlatego m.in. SW zastosowała taktykę „służby”. Andrzej Zarach pierwszy się spotkał z dwoma delegatami MRK „S”, ale już w momencie

ich przywitania miał przeczucie, że coś się dzieje – obserwacja SB była bardzo liczna i w zimie, wśród opustoszałych ulic łatwo wyłowić nienaturalny tłum przechodniów i gapowiczów. W tym czasie nasłuch pilnie śledził pracę obserwujących spotkanie esbeków. Na podstawie intensywności rozmów w eterze można było wnioskować, że obstawa rzeczywistości jest liczna. Nie istniała żadna możliwość skutecznego urwania się, nawet przez rozdzielenie się konspiratorów. W takich okolicznościach, oczywiście, o spotkaniu z Morawieckim nie mogło być mowy. Jednak najciekawsze wydarzyło się po wyjściu przyjezdnych i Zaracha z lokalu kontaktowego: nagle cała, liczna obstawa SB zniknęła!

Zanim SB ogłosiła „400” (koniec akcji), nasłuch wyraźnie słyszał jawnie prowadzoną korespondencję: „Na którym ramieniu ma torbę, na którym ramieniu?”. Oczywiście było, że nagle zniknięcie obstawy SB odbyło się na umówiony z tajnym współpracownikiem sygnał: po przewieszeniu torby przez uzgodnione ramię. Sygnał został przekazany, ponieważ Andrzej Zarach podzielił się z przyjezdnymi swoimi obawami, że „coś się dzieje” i agent, aby nie „przepalić” kombinacji operacyjnej, odwołał, przygotowując na taką okoliczność obstawę SB. Skuteczność nasłuchu w tym przypadku była stuprocentowa – ponieważ z Warszawy przyjechało dwóch wysłanników MRK „S”, a tylko jeden miał torbę – identyfikacja agenta była jednoznaczna.

O tym, jak poważnie SB zaczęła traktować wywiad radiowy SW, świadczy fakt, że w trakcie łapanki SB na Morawieckiego, a następnie jego arestowania towarzyszyła na częstotliwościach SB praktycznie cisza radiowa, z rzadka przerywana regularnymi, co godzinę mniej więcej powtarzanymi komunikatami liczbowymi, które miały najprawdopodobniej potwierdzać gotowość (czujność?) zespołu obserwacyjnego. W tym czasie raz tylko użyto nienumerycznego kryptonimu „Lotnisko” – który oznaczał akcję wywiezienia Kornela z Wrocławia.

Skala środków (finansów, ilości ludzi itp.), jakie SW mogła przeciwstawić działaniom SB, przy możliwościach komunistycznego państwa była nader skromna. Trzeba pamiętać też, że działacze SW w porównaniu do szkolonych w kraju i w Związku Sowieckim funkcjonariuszy byli amatorami. Do wszystkiego dochodzili sami. Jednak dzięki zaangażowaniu tych ludzi SW potrafiła prowadzić skuteczne działania wywiadowcze i kontrwywiadowcze przeciwko działaniom MSW – w kraju, a czasami nawet za granicą.

Piotr Serwadczyk

Na podst. materiału, zamieszczonego na stronie „Solidarności Walczącej”: www.sw.org.pl. Zmiany i skróty red. „Bibuły”.

→ rzył tam sanktuarium pomordowanych na Wschodzie.

Tablice wykonywali kamieniarze z Powązek i z Bródna. Było ich kilku, właśnie ze względu na konspiracyjność. Gdyby był jeden, to szybko by go namierzyli, bo każdy jednak miał swój rozpoznawalny styl. Co prawda rozpoznawalny dla fachowców, czyli dla kamieniarzy, a nie dla ubeków. Przy tym z pojedynczych tablic nic się nie dawało wydedukować.

Zięba bywał cholerykiem. Raz, ze strachu, nie rozkleił jakichś klepsydr, a część rozwiślałem w miejscach bezpiecznych, lecz jego zdaniem niewłaściwych. Zezłościło go to, że pominąłem kościół przy ul. Gdańskiej. Rzeczywiście stał niby na uboju, ale co do niego podchodziłem, to kręcili się ludzie i jakoś się bałem. To już było po pierwszym „cztery osiem” za klepsydry. Jakichś czas miałem boja... Ziemiński się zezłościł i obił mnie swoją łaską. Bo on nosił łaskę. Coś miał z nogą, ale nigdy mi się nie przyznał – co? Wkurzony byłem, ale polazłem na Gdańską i na chana, przy ludziach, przykleiłem klepsydrę. Pytasz, czy mnie przeprosił? Chyba nie, choć może nie pamiętam... Z akcji na Gdańskiej był zadowolony...

Drugi raz dzielił mnie, ale lekko, gdy zawieszam na ołtarzu u Boromeusza obraz Matki Boskiej Kozielskiej. Dość dobitnie upoważniony przez ks. Niedziela wdrapywałem się na ten ołtarz, bo inaczej operacji nie dawało się przeprowadzić. To była już druga połowa lat siedemdziesiątych, więc byłem taki bardziej dorosły. To też nie walał mnie mocno, za to takim scenicznym szepem syknął: – buty przynajmniej zdejmij! Tym razem, już u siebie w domu, poczęstował mnie dwoma kieliszkami swojej domowej dereniówki. Nie, nie – nie myśl sobie... spirytus kupował w sklepie, rektyfikowany.

Po marcu miałem półtoraroczną przerwę. W latach siedemdziesiątych, przy prymasie Wyszyńskim powstał Seniorat Wojska Polskiego. Wojciech Ziemiński, jako najmłodszy wiekiem i rangą oficerską, został jego sekretarzem. Ale przecież nie ograniczał się do spraw wojskowych.

Właśnie on przeforsował u Karola Boromeusza tablicę poświęconą Antoniemu Pajdakowi, a Pajdak był KOR-owcem, a przedtem zastępcą Delegata Rządu na Kraj z ramienia PPS. Zięba był piłsudczykiem. To w latach siedemdziesiątych przykleiło się do niego przezwisko – Kasztanka.

Rozmowa ze Zdzisławem Najderem o początkach PPN

Powielacz od prezydenta

O ile się zorientowałem, to wcale się o to nie gniewał.

Po 1976 związany byłem z Jackiem Kuroniem, bardzo szybko znalazłem się w NOWEJ. Ale nieprzerwanie współpracowałem z Kasztanką. Ziemiński wprawdzie zakładał KOR, ale wkrótce z niego ustąpił i znalazł się wśród założycieli ROPCio. Ubolewał, że działalność ROPCio częściowo paraliżowały ambicje niektórych działaczy. Robił swoje. Po dawnemu, chyba, najbliżej mu było do ks. Niedzielaka.

Ja mu drukowałem jakieś rzeczy. Ani Mirkowi, ani Jackowi to nie przeszkadzało. Nadto użytkował mnie przy sprawach związanych z Sanktuarium Katyńskim u Karola Boromeusza i przy rocznicach 11 listopada. Nie miałem jeszcze kłopotów z kręgosłupem, więc zwykle nosiłem najcięższy wieniec. Dyktans od katedry do Grobu Nieznanego Żołnierza, wcale nie najkrótszą trasą, bo Królewską, do dziś kojarzy mi się, nade wszystko, z pewnym wysiłkiem fizycznym.

Spór Ziemiński miał w 1979 r. z Tadeuszem Mazowieckim. Wielowiejski zauważył, że w gabinecie naczelnego „Więzi” on sporządza projekt plakatu na 11 listopada. Zniknął, a po jakimś czasie przybiegł zdyszany Mazowiecki i plół coś o prowokacji i o prowokatorze. Zapewne miał swoje racje, nie mi sądzić, czasy nie były dla „Więzi” słodkie, ale Ziemiński miał pogląd i natychmiast go wyraził. W rezultacie wyleciał ze współpracy z „Więzią”, ustąpił z KIK-u i bez wątpienia miał poczucie krzywdy.

Na dodatek właśnie 11 listopada w ROPCio dokonał się rozłam, bo powstał KPN. Mnie, po starciu, po święcie niepodległości wszystko bołało, bo kwiatciarz, aby wieniec był bardziej obfity w kształtach, świerczyny nie żałował, a świeża świerczyna swoje waży... Przypominam sobie – kwiatciarz na kwiatkach oszczędził i Kasztanka, bez żadnego gadania, zapłacił mu mniej, niż było umówione.

Ale tak naprawdę, to był duża człowiek!

not. Jan Prowincjusz

Kiedy powstało Polskie Porozumienie Niepodległościowe?

– Dokument inauguracyjny, przepisany na maszynie przez moją żonę, a następnie wywieziony z kraju przez zaprzyjaźnionych dyplomatów ich pocztą, opublikował londyński „Tydzień Polski” 3 maja 1976 r.

Czy został przepisany na państwa domowej maszynie?

– A skądże! Żona przebywała wtedy w STOCER-ze w Konstancynie i nocami przepisywała to przez kalkę w szpitalnym biurze. Tacy głupi nie byliśmy...

PPN powstało zanim powstał KOR, a nawet przed Czerwcem'76. Jednak dyskusja na temat powołania jakiejś formy opozycji trwała, na łamach paryskiej „Kultury” i londyńskiego „Aneksu” od ponad roku. Zdaje się – przełomowym momentem była Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej w Helsinkach, w czerwcu 1976 r., która zawierała pewne zobowiązania sygnatariuszy i umożliwiała monitorowanie przez pozostałe państwa wykonanie tych zobowiązań...

– W ocenie KBWE różniłem się od wielu moich przyjaciół. Oni sądzili, że „trzeci koszyk” i wszelkie inne ustępstwa sowieckie okazały się fikcją, a ja uważałem, że to jest jakiś punkt wyjścia. Bardzo poszerzył się zakres tego, co – teoretycznie – było wolno. W Polsce rzeczywiście najpierw odbyła się debata. Zabierałem w niej głos, na łamach „Kultury”, pod pseudonimem Marian Kowalski. Wtedy chodziło mi po głowie, że trzeba przedstawić jakiś docelowy program. Tym celem mogła być tylko niepodległość. Tekst ukazał się wiosną 1975, ale kształt przyszłego dokumentu KBWE był już wówczas oczywisty. W tamtych czasach było jasne, że wiedzą o tym, co dzieje się w świecie, ale nawet i w Polsce, w większym stopniu dysponują emigranci polityczni, niż my – krajowcy. Dlatego zaapelowałem o taki program do emigrantów. Giedroyc był sceptyczny i okazało się, że miał rację. W odpowiedzi nadeszły dwa niezadowolające teksty.

Wspomnę tu zabawną historię. Otóż w lipcu 1975 wracałem do kraju z konferencji conradowskiej w Londynie z numerem „Kultury” z opublikowanym tekstem i kilkoma książkami emi-



foto. Erazm Ciołek

gracyjnymi. Ktoś na mnie doniósł, celnicy to zabrali i prokuratura wytoczyła mi sprawę. Zabrali mi też notatki, wyłącznie naukowe, ale też blok, na którym sporządzałem notatki listu do Giedroycy. Kartki z tymi notatkami tam nie było, ale dopiero w Warszawie uprzytomniłem sobie, że przecież pisząc długopisem pozostawiłem znakomite odciski na pozostałych kartkach.

Pobiegłem z tym do Janka Olszewskiego, a on się tylko roześmiał

Okazało się, że miał rację! Przeanalizowaliśmy ich?

– Często tak, ale to było rozropne. Gdy już stało się jasne, że mój apel wpadł w próżnię, postanowiliśmy sami sporządzić odpowiedni tekst.

My, czyli kto?

– Jan Olszewski, Jan Zaranowski, Wojciech Karpiński, Jan Józef Lipski, choć on ostatecznie zdecydował się na jawną działalność w KOR-ze. Nadto rozmawiałem z kilkoma osobami, którym początkowo nie mówiłem do końca, czemu ten tekst ma służyć. Wielu potem dołączyło, jak Andrzej Kijowski i Jan Józef Szczepański.

Oczywiście kluczową kwestią był postulat niepodległości. Dylemat polegał na tym, że formułując go, w imię rozsądku, skazywaliśmy się na byt anonimowy, niejawni. Jawnie, pod nazwiskami mogliśmy zgłaszać opinie formalnie zgodne z prawem PRL, a to uważaliśmy za niewystarczające. Dyskutowaliśmy konspiracyjnie, np. z Jankiem Olszewskim chodziliśmy po skarpie własięnej, podobnie z Jankiem Lipskim. Jeśli ktoś nas chciał podsłuchać, no to musiał w widoczny dla nas sposób zbliżyć się. Gdybym był namierzony, to np. nie mógłbym kontaktować się z Aleksandrem Gieyszto-rem.

Czy prof. Gieysztor był członkiem PPN?

– Tak. Ale wracając do kwestii niejawności działania. Utwierdziła mnie w tym postanowieniu rozmowa z Jerzym Lerskim w USA. Otóż jawne działania nie tylko powodowały różne utrudnienia wynikające z aktywności SB, ale też wprowadzały element gry politycznej, często realizowanej indywidualnie przez część uczestników. To zaś jakoś musiało się odcisnąć na głoszonych poglądach, czy opiniach. Oczywiście konspiracyjność naszego przedsięwzięcia miała swoje wady. Utrudnione było komunikowanie się, rozmawianie. To wszystko zabierało bardzo wiele czasu. Ale za to dawało dużą swobodę w wyrażaniu opinii.

Postawienie kwestii niepodległości miało i inny walor. Nawet jeśli wielu ówczesnych nie wierzyło w jego realizację, to punkt wyjścia był właściwy dla ewentualnego zawierania kompromisu. Lecz nie to było rozstrzygające. Ostatecznie zbyt wielu Polaków zginęło za niepodległość by jakiegokolwiek innego oczekiwanie mogło być wystarczające.

Chodziło o narzucenie standardu tym, którzy zdecydowali się na działanie jawne?

– Jeśli chce pan tak to wiedzieć... Bardzo rzadko spotykaliśmy się we czterech. Nigdy w takim spotkaniu nie brał udziału Wojtek Włodarczyk, a przecież był szefem techniki i kolportażu. Takie mieliśmy zasady. Kontakt z Wojtkiem miał jeszcze Andrzej Kijowski, ale tylko po to, by wiedział, kto to jest. Styk redakcji z techniką był zatem minimalny. Nasza aktywność przejawiała się w ogłaszaniu tekstów, o których sądzę, że merytorycznie były poważne i nie dotyczyły bieżącej polityki, a raczej nade wszystko nie dotyczyły bieżącej polityki, lecz strategii. Otóż w warunkach innych, niż konspiracyjne, te teksty w takiej ilości nie mogłyby powstać i zapewne miałyby inne, bardziej doraźne treści.

Nie było to moim zamierzeniem, ale szybko zorientowaliśmy się, że dla większości z nas, może nawet wszystkich, najbliższą była tradycja Polskiej Partii Socjalistycznej. To wychodziło nawet w takich szczegółach, że matka Jana Olszewskiego była Okrzejówną z domu. Ale też nie było przypadkowe. Proszę sobie przypomnieć, która to partia polityczna była najkonsekwentniej przywiązana podczas II w. św. do niepodległości, odrzucania kompromisów polegających na rezygnacji z niej? Oczywiście ludzie wywodzący się z pepesowskiej tradycji licznie znaleźli się także w jawnej działal-

W dniu 22 stycznia w godzinie 19-14
w godzinach dwu godzin w Warszawie
przy skądolnieniu Poczty
w godzinach nadzwyczajnych

POWSTANIA 1863

według się budujemy za tych,
którzy się walczyli o wolność,
bardzo niepodległościowo
służyli ofiarom Boga
i Ty, co nie zgłasza



o udział w uroczystościach w Warszawie

Jedna z klepsydry przygotowanych przez Jacka Arcta na zlecenie Wojciecha Ziemińskiego (lata 70.)

z numerem „Kultury” z opublikowanym tekstem i kilkoma książkami emi-

ności opozycyjnej, ale nam najłatwiej było formułować ten najważniejszy cel niezależnej polskiej polityki. A zresztą, tradycja działania PPS chyba w najmniejszym stopniu okazała się anachroniczna po upływie tylu lat dominacji sowieckiej nad Wisłą.

Jednym z pierwszych tekstów PPN był tekst Andrzeja Kijowskiego „Tradycja niepodległościowa i jej wrogość”. Bez wątplenia owych wrogów wypadało upatrywać w endecji. Narodowa Demokracja miała wielkie zasługi dla krzewienia świadomości narodowej, ale jej determinacja w drodze do niepodległości budzi wątpliwości. Oczywiście – z Niemcami nijak porozumieć się nie można było, stąd z uporem szukali porozumienia z Rosją. Problematyce niemieckiej poświęciliśmy trzy nasze teksty, czyli bardzo dużo, bo było jasne, że z rosyjskiej niewoli nie wydobędziemy się wbrew Niemcom. A w takim razie trzeba było, także mentalnie oswajać się z myślą o zjednoczeniu Niemiec.

Akceptacja takiej konieczności nie była łatwa, wówczas, dla pokoleń pamiętających wojnę. My, zakładając PPN, ten problem mieliśmy już, w zasadzie, za sobą. Ale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że ludzie, do których chcieliśmy dotrzeć z naszym myśleniem, mieli to jeszcze, zazwyczaj, przed sobą. Zresztą – gra była ryzykowna – bo interesowało nas zjednoczenie Niemiec tylko pod warunkiem odzyskania suwerenności przez nasz kraj. To wszystko opierało się na kalkulacji, że po KBWE procesy historyczne w Europie ulegną gwałtownemu przyspieszeniu. Dziś łatwo jest to mówić, ale wtedy była to jednak teza obciążona ryzykiem. Podjęliśmy je z pełną świadomością odpowiedzialności przed tymi, których przekonywaliśmy do swoich racji.

Te lata 1976 – 80 były odprawdy satysfakcjonujące. Potwierdzały bowiem naszą hipotezę, którą przecież głosiliśmy jako program polityczny do realizacji.

Jeden z ostatnich tekstów PPN, autorstwa Zbigniewa Wójcika, zawierał jednoznaczny postulat niepodległości Ukrainy i konieczności szukania przyjaźni z tym narodem i przyszłym niepodległym państwem. Wkrótce, w ślad za nim, podczas masowego wiecu, jakim było jesienią 1981 r. spotkanie Jacka Kuronia ze studentami Uniwersytetu Warszawskiego, mówca zadeklarował, że nie będzie wolnej Polski bez niepodległej Ukrainy.

– Właśnie o tym mówię. Nasza koncepcja względnie swobodnego,

dzięki zasadzie konspiracji, formułowania długofalowych celów i wskazywania dróg ich osiągnięcia, sprawdziła się w praktyce. Nasz głos, może nie tak głośny, jak innych instytucji opozycyjnych, był jednak wystarczająco dobitny, by skutecznie wpływać na polityczne myślenie Polaków. Wspomnę tu jeszcze inną inicjatywę – raporty Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”. DiP, nie mam wątpliwości, starał się iść drogą przetrętą przez nas. Nie był konspiracyjny. Mało tego – liczni uczestnicy nie tylko nie byli wiązani z opozycją, ale często byli związani z jakimiś tam odłamami władzy.

O Rakowskim powiada się, że był mocno zielony...

– No właśnie. Nie lekceważę dokonania DiP-u. Odegrały one jakąś rolę w demontażu komunizmu w Polsce. Choćby dlatego, że kadry komunistyczne zaczęły jawnie uczestniczyć w myśleniu o tym, co będzie z Polską po komunizmie. Oczywiście nie wszyscy ulegali naszym argumentom. Klóciłem się z moim przyjacielem Stefanem Kisielewskim. On powiedział o sobie, że jest realistą. Ja mu replikowa-

„Kultury”. Główne tezy ich tekstów dość szybko wracały do kraju, do słuchaczy zagranicznych rozgłośni radiowych. Nadto często nasze oświadczenia i inne teksty przepisywane były, z użyciem kalek, na maszynach do pisania. Ale oczywiście mieliśmy świadomość, że to wszystko za mało. Dlatego postaraliśmy się o powielacz. Dostaliśmy go od prezydenta Edwarda Raczyńskiego, a przemyciła do kraju Izabella Carroll, moja pasierbica, pracująca w angielskiej firmie we Włocławku. Drukiem i kolportażem zajmował się Wojtek Włodarczyk. Ja w to nie wnikałem. W imię konspiracji. Działała w tym zespole moja wieoletnia przyjaciółka Donata Abakanowicz – Eska, córka jednego z dowódców NSZ. Rzecz jasna wiedziałem, że uczestniczy w tym także mój syn Krzysztof, ale nic więcej. Tym bardziej nie wiedziałem, gdzie ten druk się odbywał. Za to byłem mocno zaangażowany w zaopatrywanie powielarni w matryce białkowe i farbę. Po prostu przywoziłem to zza granicy i do dziś dumny jestem, a zarazem zażenowany jedną taką historią. Otóż pojechałem na kongres conradystyczny w Amiens z pełną świadomością, że nie jestem do niego przygotowany. Jak wspominałem – praca na rzecz PPN, właśnie ze względu na konspiracyjny charakter, była dużym obciążeniem czasowym. Tak więc byłem mało aktywnym uczestnikiem międzynarodowej konferencji – rzecz można, że oszukiwałem kolegów naukowców – ale za to wracając przywoziłem bardzo wiele puszek z doskonałą farbą powielaczową. Osobnym problemem był papier. W tamtych latach często bywałem w okolicach Brodnicy i tam często papier był w sklepach. Ale gdy trzeci raz chciałem kupić kilka ryz, to poproszono mnie o dowód osobisty. To były takie czasy... Potem tych powielaczy było więcej.

A kolportaż?

– Przekazywałem, pojedyncze egzemplarze, a czasem po kilka, zaufanym osobom i wszyscy z naszego środowiska postępowali tak samo. Przez jakiś czas rozsyłałymi pocztą, ale wiedzieliśmy, że to jest ryzykowne.

Ja je dostawałem razem z bibułą korowską i wszelką inną, ponieważ w pakiecie.

– To, być może, była najpowszechniejsza droga, ale jej organizacją nie zajmowałem się. Wszakże jest pewne – zdumiewająco wielu ludzi, z różnych miejsc w kraju, jednak jakoś do naszych tekstów docierało. Były one przedmiotem ich rozważań. No więc, muszę powiedzieć, po latach, że to było budujące...

rozmawiał
Krzysztof Markuszewski

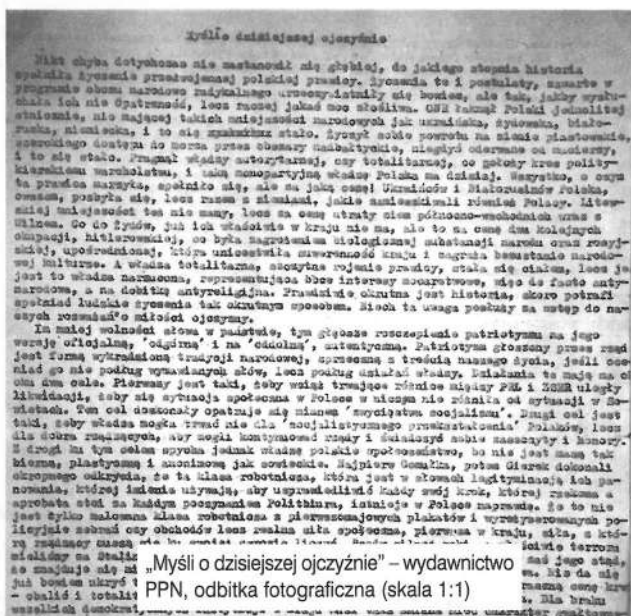
Piosenki JKK W szarej strefie karalności

Jana Krzysztofa Kelusa знаłem z Tatr i Mazur, od drugiej połowy lat 60. Odkąd pamiętam towarzyszyła mu gitara. Przyklejał



się czasami do prawie zawodowego kabaretu, jakim był „Salon Niezależnych”. Charakter naszych znajomości był budowany na „propagowaniu wrogich poglądów i działalności skierowanej przeciwko linii politycznej partii”, jak zapisywały „Meldunki operacyjne”. Mówiąc bardziej po prostu, nie podobało się nam to, co w Polsce się działo, władzy, z którą szybko weszliśmy w spór indywidualny, nie podobało się to, że się nam nie podoba. Programu politycznego nie mieliśmy, staraliśmy się zidentyfikować, używając języka innego, niż wszędzie wciskający się język propagandy. Piosenka była idealnym narzędziem dla takiej płaszczyzny identyfikacji.

Źródło piosenek, a raczej ballad, było zaledwie kilka: Włodzimierz Wysocki, Bułat Okudźawa (posiadający ponadto oficjalną, legalną płytę winylową), Aleksander Galicz, Karel Kryl (w kilku piosenkach przetłumaczony przez Jacka Tarkowskiego). Rok 68 i później 70 na Wybrzeżu przyniósł kilka anonimowych piosenek. Jednym z anonimów 68 okazał się Maciej Zembaty, interwencja Wojska Polskiego w Czechosłowacji zapisała się w piosence „Hradec Kralove”. Piosenki z 1970 r. często były replikami, jak „Gdy naród do boju”. Wspólna historia polsko-radziecka pozostawiła kilka strof: „ech, jabłoczko, kuda toczysz, potocziś w GPU i nie wzroszcziś”, „za chleb i wodę i za swobodę, spasiłba bolsze sowetskomu narodu” czy „ku hispańskiej granicy”. Poza przegrzywanymi taśmami z Wysockim, Galiczem, taśmą z Kryłem (nagraną na pierwszym, znanym publicznie koncercie Karola Kryla, w czasie strajku na FAMU) była jeszcze „Wolna Europa”. RWE upowszechniła tak zwaną „Taśmę Tennenbauma”, wybór piosenek, które Natan Tennenbaum za pośrednictwem ambasady



„Myśli o dzisiejszej ojczyźnie” – wydawnictwo PPN, odbitka fotograficzna (skala 1:1)

łem, że jego realista jest człowiekiem wierzącym, że nic się nie zmieni. A przecież doświadczenie historyczne uczy, że właśnie niezmiennosc jest tym, co nie występuje, zaś zmiany niekiedy dokonują się w nieprawdopodobnym przyspieszeniu.

Żeby jednak zaistnieć, trzeba było jeszcze dotrzeć z dokumentami PPN do czytelników.

– To był zasadniczy problem. Na początku nie mieliśmy żadnego sprzętu poligraficznego i Wojtek Włodarczyk po prostu robił fotografie. Potem staraliśmy się te niebawem grube pakiety papieru fotograficznego dostarczać zaufanym przyjaciołom z prośbą o udostępnianie innym, ale często np. sam podrzacałem je, anonimowo, pod drzwi niektórych osób. Dzięki kontaktom sprawnie, co nie znaczy, że zawsze łatwo, dostarczaliśmy te teksty na emigrację, a szczególnie do

Łódzki „Puls”

Burzliwe dzieje

dy Szwecji wywiózł, emigrując z Polski po 1968 r. Gitara akustyczna, w odróżnieniu do zasilanej z centralnej sieci gitary elektrycznej, stanowiła rekwizyt obozów wędrownych czy mniej zorganizowanej włóczędzy – jakby nie było – czynności nie uporządkowanych, stanowiących załączkową formę wolności. Z treścią było bardzo ubogo.

Janek Kelus znał dobrze angielski, poza opisanymi balladami miał zaplecze w piosenkach Woody Guthriego. Do tej pory nie wiem, czemu się nie załapał na Pete'a Seegera, Boba Dylana czy Joan Baez. Pamiętam, że bezskutecznie chciałem go namówić na piosenkę Seegera „Żołnierze torfowisk”, o pierwszych więźniach Dachau, na którą się krzywił za nadmierny patetyzm. Nie dawał się ustawić w profilu politycznym, ale, jak sam pisze, miał poczucie uzależniającego manipulowania uczuciami innych. Na pewno śpiewając miał kłopot z postawieniem granicy, pomiędzy prywatną wypowiedzią a występem. Lista piosenek rosła, mieszkanko-mansarda Janka stawała się coraz bardziej towarzyska, można napisać publicznie. Zaczął swoje piosenki tworzyć, ale trudno mu było je powieścić czy imitować. Nie miał muzycznych umiejętności profesjonalnych, pamiętam, jak zmagał się z fizycznym urządzeniem, jakim były struny gitary. Namawiałem barda, który był moim kolegą, żeby się nagrał na taśmę – wcześniej udało się namówić Jacka Kleyffa. Janek odmawiał, wykręcał się wstydem, tłumaczył kiepską jakością swojej muzyki, albo się obrażał. A piosenki były praktycznie nie do zaśpiewania bez autora. Ja miałem cel dość partykularny – rozszerzenie odbioru społecznego, Kelus zachowanie swojej prywatności. Przepychankę rozstrzygnęła w końcu polityka – Kelus jednym strzałem zbił długą listę trofeów politycznych, dokuczając sporo władzy i nie tracąc własnej tożsamości. Dla powiększenia miary sukcesu można dodać niespodziewany, po kilku i kilkadziesiąciu latach sukces finansowy i wpisanie tekstów kilku piosenek do szkolnego podręcznika z historii („Fiat 126p”, „Szosa E7”).

Piosenki Jana Kelusa mieściły się w szarej strefie karalności. Za „Szopkę” Janusz Szpotkański usiadł w więzieniu i wybito mu zęby, Wojciech Młynarski dostał domiar podatkowy. W trakcie przesłuchań padały pytania o piosenki, słowa, kasety konfiskowano w trakcie przeszukań. Z drugiej strony, nie znam wyroku za piosenki. Była (nie całkiem Kelusa) piosenka „Akademia Policyjna”,

W tym roku przypada 30 rocznica narodzin kilku niezależnych czasopism: warszawskiego „Zapisu”, łódzkiego „Pulsu”, lubelskich „Spotkań” oraz zapewne kilku innych. Urodziny „Zapisu” raczej nie zostaną zapomniane, o „Spotkaniach” – mimo pewnego pokrewieństwa koncepcji pisma – wiem za mało, by się o nich rozpisać, skupię się więc na „Pulsie”, który jest mi najbliższy.

Warszawa potraktowała ukazanie się pierwszego numeru „Pulsu” najpierw jako przejaw nielojalności i swoistej niesubordynacji, a następnie – na łamach czwartego „Zapisu” – przyjęła postawę protekcyjnej wyrozumiałości „witając młodszego brata”.

W jakimś sensie odpowiedzią były – w „Przeglądzie kulturalnym i niekulturalnym” drugiego numeru „Pulsu” (marzec 1978) – omówienia bieżących numerów „Spotkań” i „Zapisu” podpisane W.S.

O „Spotkaniach”:

„Naturalną konsekwencją temperatury życia społeczno-politycznego w naszym kraju jest funkcjonowanie niezależnego ruchu wydawniczego” – czytamy we wstępie do „Spotkań” – niezależnego pisma młodych katolików, którego pierwszy numer ukazał się w październiku 1977. O tym, że deklaracje te pojmują redakcja poważnie świadczą zawartość numeru. Myśl powinna być niezależna nie tylko od cenzury, ale i od schematów, którymi nauczono nas myśleć. I tu dwa uderzające w stereotypy artykuły o problemach narodowych – Jacka Sadowskiego „Sprawy Żydów czy antysemityzm” i X.Y.Z. „Ukraińcy wobec państwowości polskiej”. Rzeczywo ton i erudycja historyczna charakteryzują obydwie artykuły stanowiące poważny wkład w dyskusję pomiędzy ludźmi i społeczeństwami rozdzielonymi przemocą i kłamstwem.”

O „Zapisie”:

„Z datą „październik 1977” ukazał się czwarty numer „Zapisu”. Z zamieszczonych w nim wielu interesujących tekstów, naszym zdaniem, na najwyższą uwagę zasługują: – artykuł Anny Chmielewskiej pt. „Kampania”, będący – najwnikliwszą z dotychczas podejmowanych – analizą języka oficjalnej propagandy prasowej, – wspomnienie Stefana Kisielewskiego

„Przeciw cenzurze – legalnie”, w których autor opisuje swoją wieloletnią walkę z czarnym urzędem prowadzoną w sejmie PRL, – „W kościele świętego Marcina” Joanny Szczęsnej (...).

Te trzy teksty nie wyczerpują oczywiście pozytywów numeru. (...) Najważniejszym walorem „Zapisu 4” w stosunku do poprzednich zeszytów jest to, że z doraźnej antycenzuralnej inicjatywy wydawniczej, przekształcił się w autonomiczne, świadome własnych celów c z a s o p i s m o, co zaznacza się w ogólnej koncepcji, formie i układzie numeru. Witamy więc

go reżimu. Konsekwencją tego założenia był kształt „Pulsu”, reagującego „na bieżąco” na życie społeczne, kulturalne i artystyczne toczące się zarówno w absurdałnej rzeczywistości PRL, jak i w jej podziemnym, wolnym od bezpośredniego przymusu nurcie.

Alternatywa w alternatywie

Warto dodać, że „Puls nieregularny kwartalnik literacki” (taka jest pełna i prawidłowa nazwa naszego łódzkiego dziecka) powstał

w pełni spontanicznie jako inicjatywa autentycznie „oddolna”, niezwiązana ideologicznie z żadną z ówczesnych opcji politycznych czy światopoglądowych demokratycznej opozycji w Polsce. Środowisko, które wyłoniło założycieli „Pulsu” i – naturalną rzeczą kolejną – skupiało jego najwierniejszych czytelników, współpracowników i przyjaciół, rekrutowało się z kręgów niepokornych mieszkańców Łodzi inspirowanych przez „przedkorowskie” akcje zbierania podpisów pod różnymi petycjami, przez dyskusje w coraz liczniejszym gronie nimi zainteresowanych, a następnie przez sam KOR. W szeregach KOR-u byli, jak wiadomo, lu-

dzie o różnych poglądach, co bardzo pomogło wejściu „Pulsu” na podziemny rynek wydawniczy.

Leszek Szaruga w swojej cennej wypowiedzi zatytułowanej „Puls: alternatywa w alternatywie” (tom „Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne” z cyklu „Z dziejów Kultury Cyfrowej w Polsce”, Biblioteka Narodowa, 1992), stwierdza, że „Puls” był bliższy temu, co socjologowie nazywają zjawiskiem kontrkultury niż kulturalnemu establishmentowi, a dalej, że sukces w tej dziedzinie pojawił się później, a był dziełem młodych, skupionych w redakcjach pism niezależnych, które na-



„Zapis”!

W dalszych numerach zajmujemy się szerzej niektórymi tekstami z „Zapisu”, albowiem dialog, dyskusja, wymiana idei i informacji stanowiąc będą o przyszłości wolnej prasy polskiej.”

Cytaty te przypominają nasze początki i są zarazem ilustracją przyjętych zadań „Pulsu”, w tym jako pisma ignorującego istnienie cenzury zewnętrznej i walczącego z autocenzurą, narzucającą się w sposób naturalny w warunkach zagrożenia wspólnoty dla wszystkich niezależnych inicjatyw – opozycyjnych wobec peerelowskie-

leżałoby określić mianem „pism podziemnych drugiej generacji”. Wśród nich bez wątplenia na szczególną uwagę zasługuje krakowski „Brulion”, który – zdaniem Szarugi – niemal w pełni zrealizował zapowiedzi pierwszego numeru „Pulsu”.

Wszystko to – naturalnie – dotyczy naszego „nierregularnego kwartalnika” wydanego w kraju od październik 1977 do 13 grudnia 1981, kiedy to cała jego redakcja znalazła się w miejscach internowania, a ostatni, całkowicie gotowy do druku numer trzynasty zaginął bezpowrotnie, prawdopodobnie zgarnięty przez SB podczas rewizji w domu Anki Kowalskiej.

Numer czternasty ukazał się w Londynie w maju 1982 za sprawą Jana Chodakowskiego, reprezentującego interesy „Pulsu” w Londynie, gdzie wcześniej udało mu się reedytować trzy numery „Pulsu” (2, 3 i 9/10), nadając im nową, oryginalną formę graficzną. Numer czternasty miał formę podobną do tamtych, wzbogaconą o kolor i zawierał uzasadnienie, które podaję w skrócie:

„PULS” po trzynastym

„W ramach zamachu dokonanego na społeczeństwie polskim 13 grudnia 81, do obozów i więzień wtrącono przywódców i działaczy NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” (...).

Za drutami znaleźli się m.in.(...) członkowie redakcji niezależnego kwartalnika literackiego „PULS”.

Pragnąc zapewnić ciągłość pismu, podjęliśmy inicjatywę redagowania i wydawania kolejnych numerów poza granicami kraju. Zamierzamy to czynić tak długo, dopóki krajowa redakcja nie będzie mogła na nowo podjąć swoich obowiązków.”

Warto zauważyć, że takie sformułowanie nie przewidywało sprzeciwu krajowej redakcji, a jedynie oddanie pisma, o ile znajdują się w kraju warunki i wola przejścia go z powrotem. Jednak zanim pojawiły się takie możliwości, z łamów londyńskiej wersji „wyparował” fakt istnienia jakiegokolwiek innej postaci „Pulsu”, a od pewnego momentu historię tego pisma zaczęto opisywać od maja 1982. Cóż, w Polsce ukazało się TYLKO 12 numerów, a w Londynie kilkakrotnie więcej, więc dzięki takiemu zabiegowi w świadomości wielu odbiorców „Puls” jest pismem (i wydawnictwem!) emigracyjnym.

W rzeczywistości londyńska wersja „Pulsu” – zachowując automatycznie NAZWY większości stworzonych przez założycieli rubryk – odbiegała znacznie od oryginału. Było to pismo zupełnie inne, ulotnił się gdzieś specyficzny klimat, humor, znikła gotowość do podejmowania najtrudniejszych tematów, zawartość poszczególnych rubryk zmieniła charakter (z pełnym nieporozumieniem stały się moje „Poltytuły Polprasy”, „SowShow”; zapodziały się też inne subtelnosci i „smaczki”

starego „Pulsu”). Nie mam pretensji, że było to INNE pismo. Nie mogło być takie samo. Przyznaję, że Chodakowski zadbał o wysoki standard merytoryczny i artystyczny. Ale – by zachować także wysoki standard moralny – powinien albo założyć własne pismo, albo ODRÓŻNIĆ swój periodyk od oryginału, a przynajmniej dodać słowo „londyński” i przypominać od czasu do czasu o jego korzeniach.

Do dzieła bezszmerowego przejścia „Pulsu” przez Chodakowskiego przyczyniła się naiwność tych członków redakcji, którzy znaleźli się na emigracji, a w szczególności Jacka Bierzina, który – jako redaktor naczelny – zgodził się dopisać swoje nazwisko do londyńskiej stopki. Witold Sułkowski i Bartosz Pietrzak mieli do wyboru już tylko zgodę na „tymczasowe ukazywanie się PULSU w Londynie” lub awanturę. Pytanie o zgodę redaktorów w kraju było w tym czasie prawie niemożliwe. Janusz Anderman, który później zjawiał się w Londynie czasowo, nie pomyślał o zasięgnięciu ich opinii. Za to w jego biografii zamieszczonym w wydanym przez KARTĘ słowniku „Opozycja w PRL” można przeczytać, że Anderman „po wprowadzeniu stanu wojennego był jedynym przedstawicielem redakcji w kraju”. Myślę, że – jak się czasem zdarza – Janusz nie autoryzował tego biografu.

A dalej? Najpierw ze stopki zniknęła „redaktor naczelny”. Wrócono do formuły „redaguje zespół”, z podaniem nazwisk starych i nowych redaktorów. Potem znikły wszystkie nazwiska, a po jakimś czasie pojawiły się tylko te nowe.

Na szczęście jesteśmy w Polsce, tu i ówdzie pamięta się o oryginalnym „Pulsie” krajowym, a w tym roku jest okazja, aby przypomnieć o nim szerzej. W Łodzi mamy zamiar świętować jego „trzydziestkę”. Planuję się wydanie specjalnego (trzynastego lub zbiorczego) numeru, wystawę pod gołym niebem i inne atrakcje. Czekamy na pomysły (i życzenia urodzinowe).

Ewa Sułkowska – Bierzina
ebierzina@wp.pl

Pierwsza redakcja PULSU: Jacek Bierzina, Tomasz Filipczak, Witold Sułkowski, Tadeusz Walendowski.

Później dołączyli: Janusz Anderman, Antoni Pawlak, Bartosz Pietrzak, Leszek Szaruga. Ubył Tadeusz Walendowski, który wyemigrował z rodziną do USA, Jacek Bierzina został redaktorem naczelnym.

Poza członkami redakcji własne rubryki mieli: Zdzisław Jaskuła – „jaskuła reportaże listy felietony wywiady esyaje”; Spin (Ewa Sułkowska-Bierzina) – „Poltytuły Polprasy”, „POL POT (Polak potrafi)”, „Sowshow”.

Zespół stałych tłumaczy: z angielskiego – Piotr Allen (Piotr Bikont); z niemieckiego Mirosław Fuchs (Sława Lisiecka); z rosyjskiego – Michał Liniewski (Michał Jagiełło).

Janek wykręcał się od jej śpiewania, tłumacząc, że nie chce mieć połamanych palców, inna sprawa, że „wartość liryczna” tej piosenki była uboga. Michał Tarkowski bał się o losy gitary, która dawała muzykę do tłumaczeń Kryla. „Więc was tu mamy bracia” pachniało już działaniem kilku Departamentów MSW. Kleyffa ostrzegaliśmy razem z Kelusem, że za publiczne wykonywanie „Sejmu” może mieć Kodeks Karny. W przypadku podjęcia zorganizowanych działań, takich jak powielanie, kolportaż szansa penalizacji rosła – jednocześnie od powstania KOR-u rosła wywalczana strefa wolna.

Na początku lat 70. pojawiły się pierwsze, kosztujące 2 średnie pensje magnetofony kasetowe, podobnie zaczął się handlowy obrót kasetami z muzyką. Ceny były bardzo wysokie, ponad 100 zł za kasetę – średnia pensja była zbliżona do roku 2007 – czyli ok. 2500 zł. Czas popularnych w późnych latach 50. „pocztówek” się skończył, poza tym pocztówka wymagała profesjonalnego sprzętu, płyta winylowa całej fabryki. Kasetą była istotnie nową jakością – mała, łatwa w transporcie i obsłudze, przede wszystkim pozwalająca się łatwo powielić. Był to istotnie nowy środek przekazu. Kelus, z czego do dziś nie zdaje sobie sprawy, porzucając prywatną formę wypowiedzi został w istocie managerem projektu biznesowego. Bez skończonych studiów zarządzania i biznesu, bez tytułu MBA, zrealizował w 1977 r. wiele wymagań stawianych przez współczesne metodyki projektowe.

Opiszę kilka z nich.

Planowanie oparte jest na produkcie: produktem finalnym była nadająca się do słuchania i powielania kaset magnetofonowa. Produkt ten miał wiele cech: np. jakość nagrania była kompulsywnie sprawdzana przez autora. Istniała struktura produktowa, podproduktami były: nagrana kasetka, okładka i pudełko. Udało się zakupić (a była to gospodarka niedoborów), na początek, okazjnie, ponad sto czystych kaset w pudełkach „Made in CCCP”. Nazywaliśmy je pieścizotliwie „ruskie” – odrealizowaliśmy ciągłe nam zarzucaną przez władzę rusofobię, której w ogóle w sobie nie nosiliśmy. Pierwsze okładki, w formie zdjęć zrobił Piotr Rackmann. Był tam na zdjęciu Jan Krzysztof Kelus z gitarą, a dorysowany dymek otaczał tekst: „Nie szanując praw autorskich – nie szanujesz PRAW CZŁOWIEKA”. Druga okładka, fotograficzna praca Jasia Trammery była inna – melancholijny karawan z tekstem „Ekshumacja polskiej kultury niezależnej”.

Jakość podproduktu: nagrana kasetka wymagała najwięcej pracy – pomógł, a właściwie zapewnił stabil-

ne warunki sukcesu profesjonalista Wojtek Makowski z żoną Basią (obecnie dyrektor techniczny PR), wówczas dźwiękowiec. Włożył swoje kompetencje, nagrał Janka na profesjonalnym sprzęcie (Nagra Kudelskiego), obrobił technicznie dźwięk, wyciągając tony wysokie, na których były nagrane słowa, by polepszyć czytelność. Ostatecznie wyprodukował „taśmę matkę”. Była to kompletna profesjonalna praca, wykonana częściowo w studio PR. Inny jego wynalazkiem był rozgałęziacz do nagrań. Pierwszy, zrobiony przez technika, Marka Kałużnego, był po prostu realizacją szkolnego schematu elektrycznego: połączenia równoległe. Przegrywanie na kilka magnetofonów powodowało, że się ta się nie równowazyła, jedno nagranie było ciche, inne przesterowane, płynęło to w czasie. Makowski stworzył obwód, z blokującymi tranzystorami, z osobnym zasilaniem tych tranzystorów z baterijki. Dla Kelusa cały czas pozostaje to niezrozumiałym twórczym, dla oswojenia którego nadał mu własną nazwę „rozwieltki”. Funkcjonalność była wystarczająca, kilka magnetofonów mogło przegrywać z jednego, bez interferencji. Profesjonalne przegrywarki – koparki kaset magnetofonowych pojawiły się później, za karnawatu 1980-81 i przemycane w stanie wojennym.

Otoczenie prawno-ekonomiczne. Działalność stała się jawna i publiczna. Janek poszedł za ciosem, opatrzył kasetę, i w nagraniu i na okładce tekstem: „Jako niezależny twórca działający poza państwowym Monopolem Rozrywkowym, oceniam wartość moich piosenek na 5 zł 90 gr sztuka. Zastrzegam prawa autorskie, zgadzając się jednocześnie na reprodukowanie kasety /poza środkami masowego przekazu/ pod warunkami:

1. wpłacenia tantiem w wysokości 100 zł / 10\$ poza krajem/ za jedną kopię na konto podane na kasetcie,

2. opatrzenia przegranej kasety lub taśmy niniejszym tekstem.”

To robiło wrażenie, na autorze także. Rozszerzało ewentualny zakres represji o Ustawę Karno-Skarbową, ale też zmuszało dalszych uczestników przegrywania do zajęcia bardziej określonej postawy. Mieliśmy w latach 70. wrażenie, że ludzie się boją, jawny dowód uzyskał Kelus otrzymując kilkanaście pieniężnych przekazów pocztowych od Jana Kowalskiego, jednocześnie był to dowód na uczciwość tych nieznanych wpłacających i deklaracja przyjęcia innych, poza państwowych reguł gry. Początek takich reguł stworzył Mirek Chojecki, tworząc z definicji platne wydawnictwa i autorzy „Zapisu”, podpisując swoje teksty. Jeszcze przed nimi, tymi, którzy się systematycznie podpisywali, z adre-

sem, byli członkowie KOR-u, to był przełom.

Zarządzanie ryzykiem i jego monitorowanie jest niezbędne w każdym projekcie. Największym ryzykiem było to, że może przyjść bieżąca i uderzyć w zasoby materialno-techniczne. Kelus minimalizował ryzyko, poprzez poddawanie osób, wnoszących kasety na występy. Raz do Salonu Walendowskich wniosła kasety starsza pani – Irena Trammer, do Piwnicy pod Baranami ksiądz Adam Boniecki. Adwokaci obsługujący KOR, Andrzej Grabiński i Władysław Siła-Nowicki obiecali w razie czego pomoc. Standardy bezpieczeństwa dla składowania kopii back-up-owych „taśmy matki” okazały się na tyle dobre, że taśma zachowała się u sąsiada, Konrada Bielińskiego po 30 latach.

Organizacja dla projektu – była najsłabszym elementem. W jednej z wersji anonisu jest zapowiedź „do wpłacania tantiem nie jest zobowiązana młodzież szkolna, osoby nie uczące się i nie pracujące, oraz ci z moich przyjaciół, którzy pomogli w edycji niniejszej kasety”. Zaliczam się do ostatniej z tych grup, pomagałem Kelusowi w budowie tego projektu – trochę się jednak wstydząc i to ukrywając – wśród piosenek jest „Piosenka o Jacku Staszelsie”, a raczej nie wypada sobie robić autoreklam – przynajmniej z czymś takim w głowie skończyłem szkołę. Kelus był szefem projektu, nim zarządzał, miał wsparcie w swojej żonie Urszuli. Cała reszta była dość przypadkową improwizacją.

Sama formuła realizacji utrzymała się do czasów „Solidarności”. Produkcja szła cyklami od występu do występu. Ilość pierwszorazowych kaset można ocenić na 1000 – 2000 do 1980 r. Nie mam danych, co do ilości zaplaczonych przeagrań. Zmieniały się okładki, trochę się zmieniał zestaw piosenek. Powstawały SKS-y, łódzki „Puls”, Teatr 8-mego dnia w Poznaniu były miejscami występów Jana Krzysztofa Kelusa. Ważne były już nie tylko piosenki, znacznie ważniejszy był sam fakt: można się publicznie zadeklarować, złamać monopol, zażądać jeszcze zapłaty za prawa autorskie – na tym strachu społecznego pojawiła się kolejna rysa, mur pękł.

Jacek Staszelski



Okładka pierwszej kasety Jana Krzysztofa Kelusa

Mówi Andrzej Górski – drukarz pierwszych numerów „Tygodnika Mazowsze”

TM-ka z czerwoną winietką...

Wychowałem się na osiedlu WSM w Żoliborzu. Jeszcze przed sześcioma latami ktoś rozklejał tam ulotki, dziś wiem, że Sławek Kretkowski i słynny teraz aktor – Andrzej Seweryn.

Pochodzę z robotniczej rodziny z tradycją AK-owską. Po szkole wojsko, jakaś praca.... Dorosłem. Zaczęłem szukać kontaktu z opozycją. Nie było z tym większych trudności. W domu od zawsze słuchało się Wolnej Europy, a pewne adresy podawała ona jawnie. W ten sposób w 1978 r. poznałem: Magdę Chojekę, Ewę Milewicz, Sławka Kretkowskiego, od których dostawałem, na początek, jakąś bibułę.

Dzięki Sławkowi zetknąłem się z Mirkiem Chojekim i wtedy zaczęły się pierwsze drobne zlecenia – żebyśmy załatwił papier przebitkowy, taśmy do maszyn do pisania itp. Potem nastąpiło składanie książek u mnie i u mojej przyszłej żony, Barbary Močko-Górskiej. Sprawdzono mnie, zanim z początkiem 80 roku nie zostałem drukarzem NOWEJ.

Offset od Barei

Z Adamem Grzesiakiem walcowałem na prawdziwym – pierwszym offsecie opozycji, który przesznuł z granicy reżyser filmowy Stanisław Bareja. Wracając z planu z całym majdanem filmowym upchnął ten offset w częściach.

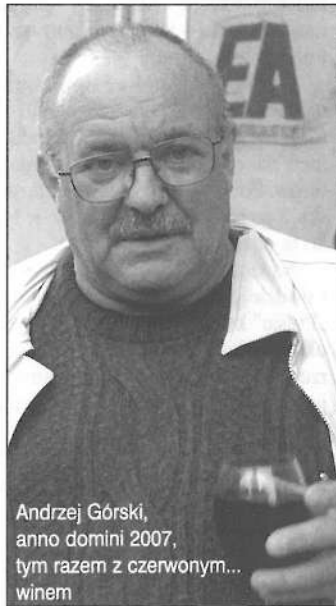
Za karnawalu NOWA trochę wyszła na powierzchnię, miała nawet swoje dwa pokoje w Regionie Mazowsze, ale my staraliśmy się drukować w konspiracji. I stasznie, bo np. jesienią '81 w mieszkaniu u braci Siewłowiczów zgromadziło się sporo książek, weszli ubecy i wprawdzie nie zamknęli nikogo, ale pół nyski załadowali produkcją i nie oddali. Bobek dostał łupu-cupu, bo jak zwykle, szarpał się i wymyślał im.

Od sierpnia 81r., za pośrednictwem Wojtka Romana wynajęliśmy z „Rzadkim” (czyli z Adamem Grzesiakiem) domek w Falenicy przy ul. Trocinowej. Właścicielka wyjechała do Niemiec, do córki i za pośrednictwem sąsiadów postanowiła wynająć lokal na rok. Sąsiadom oczywiście nie powiedzieliśmy, po co nam ten domek – grunt, że miał porządną piwnicę. Najpierw zaadaptowaliśmy ją do naszych celów, potem zwieźliśmy urządzenia, papier i farbę. Mielśmy dwa offsecy – przywieziony przez Bareję marki Ocè i drugi, składak, który zmontowałem w wolnych chwilach z uszkodzonych i zużytych maszyn, przywiezionych do Regionu, jeszcze na Szpitalną, z Zachodu. Nie miał podajnika farby, ale podajnik z Ocè pasował, więc w wypadku awarii wystarczyło przemontować układ farbowy, by kontynuować produkcję. Od października tłuśliśmy tam z „Rzadkim” druki, których lepiej było nie robić w powielarni Regionu – m.in. ulotki dla milicjantów, czy gazetkę wysyłaną na Wschód.

Tylko my trzej znaliśmy adres. Z Adamem wchodziłem na kilkanaście dni do piwnicy, wykonywaliśmy swoją robotę, a w tym czasie zaopatrzeniem zajmował się Wojtek Roman. Książek tłuśliśmy dużo, niejako na zapas, bo w styczniu '82 mieliśmy z Adamem jechać do Szwecji na przeszkolenie drukarskie.

Czerwona winietka

13 grudnia Adama i mnie nie internowali pewnie po to, by namierzyć drukarnię. Wszystko się rozpadło, pogubił się. Zaczęła się bieganina. Pamiętam spotkania w kościołach św. Stanisława Kostki i św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu oraz w jakichś domach na Sadybie. Towarzyszili nam: Tomek Boczyński i Przemek Cieślak z NOWEJ. Przemek nawiązał pierwsze kontakty, no ale po paru dniach go internowali. Dotarliśmy do Ewy Kulik, Witka Łuczyno, Pawła Bąkowskiego i innych



Andrzej Górski, anno domini 2007, tym razem z czerwonym... winem

z podziemia. Już wychodził „Tygodnik Wójcenny”, ale Region też chciał mieć swój organ – właśnie kombinowali nad Tygodnikiem Mazowsze. Miel redakcję, a my drukarnię, więc wszystko zaczęło mieć ręce i nogi. Wojtek, który nie potrafił się odnaleźć, wyjechał do Australii. Paweł Bąkowski, zwany „Rozyną”, zorganizował od podstaw kolportaż TM-ki w Regionie.

W styczniu lokal użytkował znany fotograf Tomek Michalak, któremu drukowaliśmy różnorodne fałszyki zezwoleń, przepustek i wiele innych nielegalnych dokumentów.

Wymyśliłem, że winietka będzie czerwona, a cała reszta czarna. Pomógł mi w tym Tomek Michalak, który w domu Barei zrobił blachy do pierwszych numerów pisma, a potem skupił się na przygotowy-



Drugi numer „Tygodnika Mazowsze” z 11 lutego 1982 r., właśnie z czerwoną winietką

waniu książek. Później blachy TM-ki, na przemian z Rozyną, braliśmy od Witka Łuczyno („Janeczka”).

Czerwona winietka utrudniała i opóźniała drukowanie. Chodziło mi jednak o danie dobitnego sygnału ludziom, że solidnie zabezpieczona drukarnia działa, że konspiracja jest dobrze zorganizowana i bynajmniej nie zastraszona – a przede wszystkim, że NOWA, pomimo aresztowań, istnieje nadal (dlatego wszystkie nasze druki sygnowaliśmy konsekwentnie znakiem NOWEJ).

Pierwszy nakład trzykarkowej TM-ki, w 4 tysiącach egzemplarzy, w trójkę, autobusem linii C wywieźliśmy na punkt kolportażowy na Solcu, w torbach. Adam trochę egzemplarzy odłożył i poszedł odwiedzić szwagierkę, a przy okazji pochwalił się. Rozsądnie gazetki zostawił u sąsiadów piętro niżej, więc w kocioł, u szwagierki, wszedł na czysto. W rezultacie uniknął aresztowania, ale nie internowania. Bez wątpliwa był pierwszym heroldem, który poniósł chłopakom w Białolecie informację o TM-ce.

Jego zniknięcie spowodowało pewne komplikacje. Początkowo „Rozyna” musiał nie tylko zajmować się kolportażem, ale i pomagał mi drukować. Pod koniec marca doszedł Tadek Markiewicz. Najpierw wyszukiwał w Falenicy i w okolicach lokale na składowanie wydruków TM-ki i książek. Potem „Rozyna”, wraz z Tadekiem wynalazł w lesie przy Trakcie Lubelskim parę miejsc, gdzie bladym świtem zrzucał stosowne partie wydruków (musiał odbierać od nas produkcję tak wcześnie, by zdążyć potem do pracy). Kolporterzy, po około godzinie odbierali paczki, nie mając z nim bezpośredniego kontaktu.

Spędzałem w drukarni większość czasu, bo obok TM-ki kończyliśmy rozpoczęte jeszcze za karnawalu książki: „Zagadkę śmierci Stalina” Autorchanowa i „Problem winy” Jaspersa. Od czasu internowania Adama ukrywałem się, mieszkając u państwa Radziwiłłów. I Kostek i Maciek zaangażowali się już w różne sprawy, więc może nie było to takie bezpieczne, ale innego lokalu wtedy nie miałem. O rodzinie Radziwiłłów mogę mówić tylko w superlatywach. Przyjęli mnie jak swojego. Od tego czasu Maciek ściśle związał się z ze mną i NOWA, tworząc sieć punktów składowania książek i organizując wszystko związane z ich działaniem.

Drukowałem TM-kę i rozmaite ulotki dla Regionu bezinteresownie. Traktowałem to jako swój obowiązek, pamiętając o kolegach – internowanych lub uwięzionych.

Żyłem ze świadomością, że kiedyś będę jednym z nich.

Niezależne zaopatrzenie

Disponowałem własnymi pieniędzmi zbieranymi na wspomniany już wyjazd do Szwecji i z tego finansowałem zakupy. Papieru wprawdzie było sporo, ale gromadziłem na zapas. Wcześniej pracowałem w SPHW i miałem układy z kolegą, a właściwie przyjacielem. Prowadził sklep papierniczy przy ul. Dzielnej i stamtąd kierowca z SPHW, na co dzień rozwozący meble, ładował paletę papieru i wrzucał mi ją do drukarni. I kierownik hurtowni i trzech kierowców, wykazali dużą odwagę. Dziś nie pamiętam już ich nazwisk, ale ciągle staram się ich odszukać.

Czasem zresztą szedłem na układ ze złodziejami. Oni kradli papier z magazynu SPHW na Bema, magazynierzy zaś, wiedząc o tym, nie dostregali braków. Płaciłem im cenę tylko trochę wyższą od sklepowej, więc bardzo tanio. W ten sposób zorganizowałem niezależne zaopatrzenie, zmniejszając do minimum ryzyko wpadki. Funkcjonowało to do 1988r. Celowo nie chciałem zaopatrywać się w papier z tzw. rozdzielnika NOWEJ, bo uważałem, że tam właśnie najłatwiej złapać ogon czy otrzymać pluskwę schowaną w kotręjs z ryz. Oczywiście wszystkie inne sprawy ustalałem z szefem NOWEJ, Grześkiem Bogutą.

W pewnym momencie do przewożenia rosnących nakładów zaangażowałem znajomych taksówkarzy. Najwięcej jednak brał Tadek do swego malucha. Wymontował z niego, dla zwiększenia kaburty,

przednie siedzenie i co poniedziałek jechał w okolice Międzyzlesia.

Na przełomie kwietnia i maja 1982 pojawiły się powielaczkowe TM-ki, nie wiem, gdzie i przez kogo drukowane. Ja konsekwentnie dawałem czerwoną winietkę i logo NOWEJ, dobijając nakłady do 14 tysięcy. Egzemplarze te można więc łatwo rozpoznać.

Przez Tadeka Markiewicza, który był także w MRK „S”, o czym zresztą długo nie



ANDRZEJ
GÓRSKI
GŁODUJE

29 V 1985 r. aresztowany został pod zarzutem drukowania i kolportowania wydawnictw niezależnych Andrzej Górski (ur. w 1951 r., z zawodu tokarz).

Osadzony w więzieniu mokotowskim, Andrzej Górski rozpoczął 1 X 1985 r. głodówkę protestacyjną domagając się widzenia z ciężko chorym, sparaliżowanym ojcem - czego odmówił mu bezpodstawnie prokurator Mierzejewska.

Andrzej Górski głoduje już od czterech miesięcy. Jest systematycznie szykanowany przez administrację więzienną i więźniów kryminalnych zachęcanych do tego przez klawisz. Od czterech miesięcy jest sztucznie dokarmiany - a jednocześnie odmawia mu się wszelkiej pomocy lekarskiej do czasu przerwania głodówki.

Zdrowie - a może i życie - Andrzeja Górskiego jest w niebezpieczeństwie. Czy trzeba aż takich argumentów, by umożliwić spotkanie syna z umierającym ojcem? Jak długo jeszcze będzie utrzymany w mocy ten nieludzki zakaz?

wiedzieliśmy z Pawłem, duża część nakładu szła w siatki kolportażowe MRK „S”. Oczywiście, wobec działalności tajniaka Sławomira Miastowskiego chodziliśmy po cieniówce krawędzi, ale okazało się, że pomysł służ leśnych, choć prosty, okazał się skuteczny. W każdym razie, gdy w lipcu poszła seria wpadek MRK „S”, potem zresztą powtórzona, to do nas nie dotarli.

Latem 1982 z Pawłem Bąkowskim przekazaliśmy Emilowi Broniarkowi z Ur-

susa, też drukarzowi NOWEJ, sporą kasę, za którą przygotował swoją własną drukarnię. Mam wrażenie, że redakcja TM-ki od początku miała kontakt z Emilem, choć mi o tym nie wspominali, a przecież pytałem. Prawdopodobnie kombinowali, że jak nas z Pawłem posadzą, to wtedy zaktywizują Emila. No, ale mieliśmy fart.

Miałem już wtedy duże kłopoty z pieniędzmi, bo raz ze byliśmy na własnym rachunku i nie korzystaliśmy z wsparcia finansowego Regionu, a dwa, że kasa ze sprzedaży książek wracała dość nieregularnie. Kolportaż pozostawał sprawą „Rozyny” - ja zajmowałem się drukarnią. W tym czasie, poza TM-ką i ulotkami, trzaskaliśmy bez przerwy książki NOWEJ.

„Rozyna” zorganizował na Woli zespół przepisujących teksty najpierw na zwykłych maszynach, a później na maszynie IBM załatwionej przez Macka Radziwiłła. Mieczysława Błażejewska-Sygnatowicz przepisała wtedy m.in. książki: „Z dwóch stron drzwi” Brandyśa, „Raport o stanie wojennym” Nowakowskiego i „Przesłuchanie” Bugajskiego.

Wiosną 1982 książki, wbrew wszelkim zasadom bezpieczeństwa, trzeba było składać w drukarni falenickiej, bo Maciek Radziwiłł dopiero rozkręcał swoje punkty. Składały trzy przyjaciółki Pawła z pracy, zatrudnione na co dzień w Instytucie Meteorologii i Gospodarki Wodnej: Mieczysława Błażejewska-Sygnatowicz, Marta Walter-Chmielak i Renata, wdowa pracująca w przychodni szpitala na ul. Leszno.

W bojowym nastroju

Już na początku lutego kobieta, od której wynajmowaliśmy domek, zdecydowała się wejść do środka. Oczywiście nie wiedzia-

łem, kto się tarabani do piwnicy, ale miałem powody sądzić, że nikt sympatyczny. Zaczaiłem się za rogiem obok schodów z łomem. To wydarzyło się podczas druku pierwszego numeru, w środku był „Rzadki” i Paweł. Zdaje się, że w bojowym nastroju. Na szczęście nie użyłem łomu.

Pani Małgorzata Niwińska, tak bowiem nazywała się gospodyni, a także jej małżonek i matka, oczywiście wiedzieli od tej chwili, że coś się tu drukuje, ale nie wiedzieli, że TM-kę. Ta dekonspiracja miała swoje dobre strony. Zawarliśmy umowę, że jakkolwiek szmata na płocie oznaczać będzie, że albo ubecja wzięła do środka albo w pobliżu kręci się milicja i trzeba wiać.

Na początku lipca 1982 wpadła drukarnia po drugiej stronie toru w Falenicy. Po tem okazało się, że należała do KRĘGU. Nadal jednak po okolicy szwendali się różni tacy. Pewnie szukali lokali towarzyszących tej drukarni... Jeśli dodać wpadkę w MRK „S”, to robiło się nerwowo.

Mijał rok od chwili wynajęcia lokalu w Falenicy na ul. Trocinowej. Wynajęcia właśnie na rok, co państwo Niwińscy dość stanowczo egzekwowali. Sądziliśmy, że zwyczajnie się boją. Oni jednak twierdzili, że wraca właścicielka. Nie kłamali - wróciła jakoś w połowie września 82r. Maszyny, wydruki, papier i całą resztę wywieźliśmy z Mackiem Kutrowskim i z jego kolegami z NZS-u. W ewakuacji pomógł też pracownik z GS-u, nazwiskiem Wilk. Na wszelki wypadek, tego samego dnia, z tego nowego miejsca maszynę wywoziłem gdzie indziej. Byłem ostrożny, zawsze potwarzałem, że maszyny są najważniejsze. W tym wypadku niepotrzebnie - żadnej wpadki nie było.

Wojna z Wroną trwała. Wkrótce wystartowałem z drukiem TM-ki i książek NOWEJ w nowym miejscu - ale ze starymi problemami konspiracji.

Notował: Krzysztof Markuszewski

Podziemna filatelistyka

W latach 1983-89 w kilkudziesięciu miastach Polski w nielegalnych drukarniach odbijano tysiące małych arkusików, które - naśladując oryginalne znaczki pocztowe - nosiły dumny nadruk „Poczty Solidarność”, „Poczty Niezależnej”, „Poczty Podziemnej” etc. Prezentowały one, rzecz jasna, bardzo różny poziom: od źle przyciętych kawałków zwykłego papieru z odbitym czarno-białym stemplem z linoleum - do małych, kolorowych, podklejanych i ząbkowanych(!) arcydzieł plastyki i sztuki typograficznej.

Podziemna filatelistyka w swym założeniu miała dwa cele: pozyskiwać fundusze na działalność różnych opozycyjnych ugrupowań, a jednocześnie - niejako przy okazji - kształtować świadomość polityczną i społeczną Polaków, podnosić ich na duchu. I choć tematyka znaczków była ogromnie zróżnicowana, to najczęściej upamiętniały one ważne (zwłaszcza „niecenzuralne”) wydarzenia z dawnej i nowej historii ojczyzny oraz postacie sławnych, lecz „niecenzuralnych” Polaków. Były też wiele emisji o treści i symbolice religijnej, były bloczki wyrażające solidarność z ciemniejącymi nacjami, były serie protestujące przeciwko niszczeniu środowiska, było wiele satyry politycznej...

Zupełnie nieoczekiwanie (można domniemywać) dla pomysłodawców i organizatorów podziemnej poczty, zbieranie jej okazów - wypełniając założone pod-

stawowe cele - stało się zarazem najprawdziwszym konikiem dla wielu tysięcy ludzi. Hobby to osiągnęło po pewnym czasie taki zakres i takie ilościowe rozmiary, że konspiracyjni kolporterzy, którzy, jak pamiętam, w połowie lat osiemdziesiątych jęli donosić o względnie nasyceniu rynku bezdebitową prasą i książkami, odnotowywali jednocześnie niezmienioną, a nawet rosnący popyt na znaczki. Kolekcjonowano je we wszystkich środowiskach w kraju i na wychodźstwie, a czolowymi podziemnymi filatelistami zostawali nierzadko ludzie nie mający wcześniej z opozycją nic wspólnego! (...)

Jakie liczby charakteryzują podziemną filatelistykę? Ile znaczków wydano i w jakich nakładach? (...)

- W roku 1982 w obozach internowań, następnie zaś w latach 1983-89 w całej Polsce, kilkadziesiąt różnych grup wydało w sumie około 3000 RÓŻNYCH EMISJI podziemnych znaczków (bloczków, pasków), w tym około 2000 emisji podstawowych (reszta to do-

druki, robione w innym okresie lub przez kogoś innego). (...)

- Nakłady poszczególnych emisji wahały się poważnie od 100 do 10 000 egzemplarzy, przy czym najczęściej mieściły się w granicach 3000 - 5000 sztuk.

- Emisje wydawano często w kilku, a nawet kilkunastu kolorach; w tym sensie liczbę RÓŻNYCH ZNACZKÓW można szacować na kilkanaście tysięcy, łączny zaś ich nakład na około 50 milionów egzemplarzy. (...)

Dotychczas bez odpowiedzi pozostawała podstawowa kwestia: ile o s ó b sekretnie zbierało bezdebitowe znaczki oraz ile takich z n a c k ó w liczy przeciętna kolekcja? (...) Jak zresztą głosi fama, najcenniejsze i najpełniejsze kolekcje walorów pocztowych II obiegu posiadają wysocy oficerowie byłej SB. (...) Stanisław Remuszko Za: „Tygodnik Solidarność” 17 stycznia 1992, wybór fragmentów red. „Bibuli”.

Filateliści? Do tych osób MSW rozesłało informację o ukazaniu się serii znaczków „Więźniowie Sumienia” wypuszczonych w 1984r. przez „Tygodnik Wojenny”. Dokument znalazłem w archiwum IPN. (js)

Tow. Wojciech Jaruzelski

Tow. Kazimierz Barcikowski

Tow. Zbigniew Messner

Tow. Mirosław Milewski sygn. IPN BU

Tow. Tadeusz Porębski MSW II 1634/41

Tow. Marian Woźniak

Tow. Jan Głowczyk

Tow. Florian Siwicki

Tow. Mieczysław F. Rakowski

Wydawnictwo „Przedświt” /1982-1989/

ZMS w służbie podziemia

Czym był „Przedświt”? Najprostsza odpowiedź brzmiałaby: była to spółka autorska Markiewicz-Holewiński /lub odwrotnie/. Wydawnictwo powstało pod koniec roku 1982 z inicjatywy Wacława Holewińskiego i Pawła Zapaśnika.

Dostłownie w kilkanaście dni później dołączył do nich Jarosław Markiewicz /a Paweł Zapaśnik w kilka – może 2, może 3 miesiące później przestał w nim działać/. Te dwie osoby kierowały nim przez cały okres działalności /a więc do września 1989 roku/. Co więcej, podejmowały w nim każdy rodzaj działalności, od koncepcji wydawniczej, przepisywania tekstu na maszynie /później komputerze/, robienia matryc, projektowania okładek, drukowania, po składanie i kolportaż.

Oczywiście nie jest tak, to zresztą nie byłoby możliwe, aby wydawnictwo tej wielkości tworzyły wyłącznie 2 osoby. Dla porządku warto więc wymienić tych, którzy dla Przedświtu zrobili najwięcej /w porządku alfabetycznym/: Wiesław Bieliński, Elżbieta Błaszowska, Jerzy Brukwicki, Tomasz Dolecki, Krzysztof Freisler, Ewa Holewińska, Jerzy Ignatowski, Piotr Jankowski, Tomasz Kwiatkowski, Artur Łęga, Maria Ostrowska, Bogdan Porowski, Krzysztof Siemieński, Wojciech Szczygłowski. Była też zapewne spora grupa osób, która w jakiś sposób z nami współdziałała, a to zdobywając papier, a to dostarczając sprzęt introligatorski, matryce, a to ostrząc noże, a wreszcie dostarczając pieniądze /w tym miejscu chciałbym wspomnieć serdecznie Basię Sadowską – często sama była w potrzebie ale... jej honorarium poszło na działalność Przedświtu/.

Była też grupa drukarzy na tzw. dojsciach, którzy z drukowania bibuły uczynili sobie intratne zajęcie. Ich nazwisk nie warto przypominać /nawet gdyby pozostały w naszej pamięci/ – żaden z nich nie robił tego z pobudek ideowych. Warto za to przypomnieć dwa miejsca, w których wydrukowaliśmy kilkadziesiąt naszych książek: Instytut Matki i Dziecka /przy Kasprzaka/ i Zarząd Główny ZMS /to dopiero paradoks! / przy Smolnej. Oba miejsca w Warszawie.

Pierwszą publikacją „Przedświtu” była broszura Claire Sterling zatytułowana „Kto chciał zabić Papieża”. Ukazała się w grudniu 1982 r. A później... później było tych książek, broszur, pism sto kilkadziesiąt. Te najważniejsze /a może najbardziej głośne?/: „Oni” Teresy Torafskiej, „Bóg jest wyżej, dom jest dalej” Adama



Bienia /już wówczas chyba ostatniego żyjącego uczestnika słynnego „procesu 16” w Moskwie/, „Polski rok 1919” Bohdana Skaradzińskiego /jako Jan Brzoza/, „Za kręgiem” Jerzego Jochimka, „Konspira” Mariana Moskita /Zbigniew Gach/, Macieja Łopińskiego, Mariusza Wilka, „Widziałem wolność w Warszawie” Włodzimierza Boleckiego /Jerzy Malewski/, „Przechowalnia” Kazimierza Orłowskiego, „Dziady berlińskie” Henryka Wańka, Adolfa Rudnickiego „Sto lat temu umarł Dostojewski”, trzeba też wymienić trzy niezwykle popularne książki Józefa Kuśmierka: „Credo”,

„Consensus tak, ale...”, „Polska a Zachód czyli oczekiwanie pomocy”. Drukowali u nas znakomici poeci /seria Warszawska Niezależna Oficyna Poetów i Malarzy/: Ryszard Krynicki, Tomasz Jastrun, Krzysztof Karasek /Anonim/, Ewa Lipska, Anka Kowalska, Antoni Pawlak, Barbara Sadowska, Jarosław Marek Rymkiewicz, Piotr Szewc, Jerzy Zagórski. Ukazała się też cała seria przekładów. Książki Kundery, Daviesa, Lederera, Kopacsiego, Wojnowicza, Czukowskiej, Kohouta, Toynbee’go. „Przedświt” drukował też regularnie „Kartę”, „Wezwanie”, „Kulturę Niezależną”.

Duża część z nas za działalność w „Przedświcie” płaciła więzieniem /Dolecki, Holewiński, Porowski/, zatrzymaniami na 48 godzin, rewizjami, konfiskatą majątku /samochód Markiewicza/, nerwami. Ale to cena, którą zapłacili wszyscy, którzy zdecydowali się na sprzeciw.

Jaki był profil wydawniczy? „Przedświt” to przede wszystkim wydawnictwo literackie – może jak żadne inne nastawione na poezję /często zupełnie bez kontekstu politycznego/, znakomitą prozę i esej. Oczywiście publikowaliśmy też teksty doraźne albo takie, które wynikały z naszych zobowiązań wobec Konsorcjum Wydawnictw Niezależnych /Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność”. Posiedzenie w dniach 22-23 X 1981”/.

Co zostało z „Przedświtu” dziś? Mam wrażenie, że poczucie spełnienia. Robiliśmy to, co lubiliśmy, to co uznaliśmy za ważne. Byliśmy wolnymi ludźmi. Znając ludzi, którzy zrobili „Przedświt” wiem, że nikt nie żałuje tamtych lat, wiem, że nikt z nich nie jest frustratem.

Wacław Holewiński

Wydawnictwo im. Olofa Palme

Pod patronatem premiera

Wydawnictwo im. Olofa Palme powstało w marcu 1986r. Tak nazywane zostały już istniejące struktury wydawnicze Grupy Politycznej „Robotnik”. Nowa nazwa była uhonorowaniem działacza szwedzkiej partii socjaldemokratycznej, ówczesnego premiera Szwecji – Olofa Palme, który został zamordowany 23 lutego 1986. Dla działaczy opozycji antykomunistycznej, nawiązujących do tradycji socjaldemokratycznych, trudno było znaleźć lepszego patrona – zwłaszcza, że wiedzieliśmy o pomocy dla podziemia przychodzącej ze Szwecji.

Wydawnictwo kontynuowało działalność w oparciu o drukarnię powielaczową (wyposażoną w powielacz marki „Roneo Vickeys”) – mieszczącą się w lokalu przy ul. Noakowskiego w Warszawie oraz drukarnię sitodrukową – z natury bardziej mobilną, więc często zmieniającą miejsce pracy. W 1987r. wydawnictwo wzbogaciło się o powielacz offsetowy formatu A-4, który pracował w drukarni na ul. Zajęczej w Warszawie. Wydawnictwo dysponowało również wypożyczonym z Ruchu „Wolność i Pokój” powielaczem biakowym, na którym poza wydawnictwami GP „Robotnik” i PPS drukowano „Biuletyn WiP” (do wiosny 1989). Z kolei inny powielacz wydawnictwa został przekazany Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w KWK „Anna” w Pszowie k/Wodzisławia.

Podstawowym zadaniem wydawnictwa był druk prasy. Drukowano pisma: „Robotnik”; (dwutygodnik), „Robotnik Pomorza Zachodniego”; (dwutygodnik), „Gazeta Jastrzębska”; „Robotnik Mazowiecki” (sygnowany jako Wydawnictwo im. Olofa Palme filia im. Matyldy Kretkowskiej), „Warszawianka”; „OBI”; „Robotnik Śląski”; kilka tytułów prasy zakładowej – m. in. „Monter” i „Radiowiec”). Drukarnie wydawnictwa powielały usługowo „Tygodnik Mazowsze” – nie był on jednak sygnowany nazwą wydawnictwa – taki był warunek redakcji TM. Na sprzęcie wydawnictwa drukowano pismo NZS Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW pt.: „Czekista”.

Z chwilą odtworzenia Polskiej Partii Socjalistycznej wydawnictwo stało się centralną oficyną PPS, drukującą „Robotnika”, reprint emigracyjnego „Robotnika” (oraz dodatki do pisma np. „Praca Płaca BHP” – pismo Centralnego Wydziału Zawodowego PPS), „Biuletyn Informacyjny PPS”.

Wydawnictwo – jako scentralizowana struktura – rozpadło się po rozłamie w PPS w lutym 1988r., ale jego nazwą sygnowano druki różnych grup PPS do roku 1989.

Nakładem wydawnictwa ukazywały się materiały poświęcone historii polskiego niepodległościowego ruchu socjalistycznego. Dodatkowo drukowano materiały i opracowania dotyczące prowadzenia działalności związkowej w warunkach nielegalności.

Drukarze: Grzegorz Ilka, Cezary Mizejewski, Jan Tomasiewicz, Tomasz Truskawa.

Drukarnie: Wysockiego (Joachim); Zamiejska (Małgośka); Załęże; Zajęcza; Wola; Jastrzębie; Pszów k/Wodzisławia, Żoliborz; Żoliborz (u Piechoty); Noakowskiego

Współpracownicy: Piotr Ikonowicz, Małgorzata Motylińska; Andrzej Sieradzki; Joachim Biernacki; Krzysztof Markuszewski; Michał Piechotek

Tomasz Truskawa, Grzegorz Ilka



Biblioteka Pracy.Płacy.Bhp

KOMITETY
ZAŁOŻYCIELSKIE
NSZZ
Solidarność

DOKUMENTY



O „Kulturze Niezależnej” mówią Andrzej Osęka i Janusz Sławiński

Miesięcznik „bez dziur”

„Kultura Niezależna” zaczęła ukazywać się od marca 1983 r. jako wkładka – dodatek do pisma „KOS” z inicjatywy Komitetu Kultury Niezależnej, (który wcześniej nazywał się Zespołem ds. Kultury).

Wychodząc jako pismo autonomiczne KN była w pewnym sensie zobowiązana drukować komunikaty KKN i zawiadomienia o corocznych nagrodach kulturalnych „Solidarności” (było ich kilkanaście). Pismo wyrażało idee niezależności kultury, odnotowywało wydarzenia „z frontu walki z władzą” i sprawy społeczne. Zespół redakcyjny stworzyli pisarze, krytycy i publicyści – dwoje członków KKN Marta Fik i Andrzej Osęka oraz Jan Walc, Małgorzata Łukasiewicz, Janusz Sławiński, Zyta Orszyn, Andrzej Kaczyński. – ludzie związani ze środowiskiem pisarzy, z Instytutem Badań Literackich., Okładkę zaprojektował Jan Bokiewicz.

mówi Janusz Sławiński:

KN ukazywała się bardzo regularnie – prawdziwy miesięcznik bez „dziur” (w wydawnictwach Przedświt, Pokolenie, Most i PoMost). Od trzeciego czy czwartego numeru pismo rozwinęło się i miało już zdecydowany charakter. Zgodziliśmy się, że nie ma to być kolejny biuletyn informacyjny, ale pismo „do czytania” z tekstami pierwszorzędnych autorów. Zamawialiśmy je u sprawdzonych ludzi. Np. u Tomasza Łubieńskiego, Jaceka Trznadła, Michała Głowińskiego, Romana Zimanda, Jarosława Marka Rymkiewicza, Andrzeja Kijowskiego, Barbary Skargi, Jaceka Bocheńskiego, Janusza Jankowiaka, Andrzeja Jareckiego. Drukowaliśmy dobrą literaturę – wiersze, recenzje, eseje literackie i historyczne, wywiady. U nas ukazał się np. pierwodruk zamówionej przeze mnie rozmowy Jacka Trznadła ze Zbigniewem Herbertem, która potem weszła do książki „Hańba domowa”.

Publikowano wiersze Edwarda Balcerzana, prozę Janusza Andermana, Marka Nowakowskiego, artykuły Krystyny Kersten, Anki Kowalskiej, recenzje Elżbiety Morawiec i Andrzeja Drawicza. Istniały stałe działy, np. kronika życia kulturalnego „Wydarzenia”, którą pisał Andrzej Kaczyński pod pseudonimem Leon Bober. Pojawiały się również rozmowy z emigra-

cyjnymi pisarzami czeskimi. Chcieliśmy wyjść poza środowisko warszawskie, zamawialiśmy np. teksty u autorów krakowskich, gdzie również pismo kolportowano. „Kultura Niezależna” miała zasięg ogólnopolski. Część osób drukowała pod pseudonimami, niektórzy pod własnymi nazwiskami. Poszczególni członkowie redakcji mieli swoje problemy z SB, ale nie były bezpośrednio związane z KN i nie wpłynęły na jej regularne wydawanie.

mówi Andrzej Osęka.

Przy zamawianiu i redagowaniu tekstów najwięcej pracowało Janusz Sławiński i Marta Fik. Oboje siedzieli w IBL-u, w tym gnieździe opozycji i wystarczyło im wyciągać ręce po teksty. Ja starałem się o maszyny, części zamienne, pertraktowałem z wydawcami. W kontaktach z wydawcami bardzo skuteczną była Zyta Orszyn.

Zajmowałem się też w piśmie sprawami niezależności kultury – od władzy, a także od centralistycznych zakusów działaczy NSZZ „Solidarność”. Przeprowadziłem dwa wywiady z ukrywającym się Wiktoorem Kulerskim, który przedstawiał koncepcję „społeczeństwa podziemnego” – nie organizacji na wzór AK,

lecz federacji niezależnych podmiotów. Publikowaliśmy teksty – wizje wolnego państwa nt. nowych praw o stowarzyszeniach, niezależnym ruchu wydawniczym. Marian Kallas pisał o konstytucji przyszłej suwerennej Polski. Tuż przed rozpoczęciem obrad Okrągłego Stołu Adam Michnik w wywiadzie dla KN opowiadał o „pierestrojce”.

Wydawaliśmy też zeszyty problemowe – serię „Próby” tworzoną z odczytów.

Ukazywały się pod redakcją Andrzeja Kijowskiego, a po jego śmierci Małgorzaty Łukasiewicz. Na ostatniej stronie umieszczone były porzeczające maksymy „Naród przetrwa jeśli przetrwa jego kultura” i „Kultura jest tą dziedziną życia, gdzie wszystko zależy od nas samych”.

Ostatni numer KN ukazał się, już oficjalnie, w maju 1991r. Wyszło 70 numerów. Potem doszliśmy wspólnie do wniosku, że zamykamy pismo. Na kontynuację w formie jawnej nie było już sponsora.

not. kbj

Osiedlowy Biuletyn Informacyjny

Lokalnie na Bródnie

Warszawskie Bródno to typowa dzielnica-sypialnia. W pierwszej połowie lat 70 postawiono tu kilkadziesiąt bloków z fabrycznej płyty, które zasiedlono w przeważającej części pracownikami wielkich zakładów przemysłowych znajdujących się na prawym brzegu Wisły.

Zgodnie z ówczesną „polityką społeczną” dodano im do towarzystwa nauczycieli, bibliotekarzy, a nawet garstkę skromnych literatów zrzeszonych w ZLP. Socjologiczne uwarunkowania mieszkańców sprawiły, iż w stanie wojennym rozwinęły się na terenie dzielnicy dwa nurty opozycyjne: jeden zdecydowanie lewicowy i drugi – związany z parafialnymi duszpasterstwami. Z uwagi na anonimowość zabudowy, instalowane też tu były w mieszkaniach prywatnych liczne drukarnie, punkty składackie oraz magazyny niezależnej prasy i książek pracujące dla różnych struktur i wydawnictw.

W początkach 1986r. na Bródnie powstaje pierwsze w Polsce pismo lokalne – „OBI” (Osiedlowy Biuletyn Informacyjny). Jego pomysłodawcą i pierwszym redaktorem naczelnym był Tomasz Szczepański („Wiktor”). Pierwsze cztery numery pisma firmowało Porozumienie Opozycji Robotniczej (POR), struktura powiązana z ruchem trockistowskim, działająca głównie na Śląsku i... na Bródnie. Najbliższym współpracownikiem Szczepańskiego i czołowym autorem gazety stał się Zbigniew Idziakowski („Harmodios”). Prace redakcyjne, druk i skład odbywały się w prywatnych mieszkaniach na terenie dzielnicy.

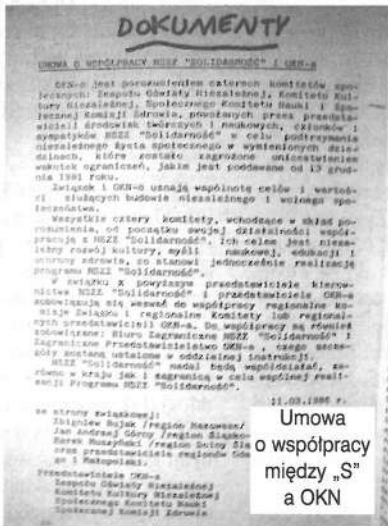
Po odejściu Szczepańskiego z POR redagowanie „Osiedlowego Biuletynu Informacyjnego” przejęła na przełomie 1986 i 87 r. Grupa Polityczna „Robotnik-Bródno” współpracująca z MRK„S”, Grupami Politycznymi „Robotnik” i „Wola”. Redaktorem naczelnym został niżej podpisany („Bayard”, „Jotes”). Trzon zespołu stanowili Katarzyna Parzychowska („Emi”), Jacek Zadrozny (J.Pol.) i Waldeemar Sikora („Apostof Prawdy”). Druk wykonywało Wydawnictwo im. Ołofa Palmeho. W pierwszym firmowanym przez nową ekipę numerze „OBI” zamieszczona została deklaracja programowa jasno określająca charakter pisma: „naszym celem jest wydawanie gazety mówiącej o problemach życia codziennego, o tym, co dzieje się w zakładach pracy, na osiedlach. Chcemy zwracać waszą uwagę na powszechne niedomagania, na błędy w zarządzaniu, drobne oszustwa, wszystko to, co sprawia, że wymęczeni i zaganiani stajemy się coraz bardziej obywatelami jednego z państw Trzeciego Świata. Zapominamy o własnym obywatelskim prawie do godnego życia, do udziału w decyzjach administracyjnych.”

W nowym kształcie „Osiedlowy Biuletyn Informacyjny” ukazywał się raz w miesiącu. Wstępnie przyjęte założenia determinowały jego tematykę. Pisano o wadliwej pracy spółdzielni mieszkaniowych i ADM-ów, zagrożeniach ekologicznych związanych z emisją gazów i budownictwem wielkopłytowym, stanie zaopatrzenia i usług, sytuacji w znajdujących się na terenie dzielnicy zakładach pracy i szkołach, wydarzeniach na Bródnie, ale przedstawiono również reportaż z wizyty Jana Pawła II w Polsce, opublikowano autorski program samorządowy Tomasza Szczepańskiego, krytykowano panoszenie się nomenklatury oraz przybliżano czytelnikom historię Bródna i Targówka, czym zajmowała się śp. Danuta Baumgartner, na co dzień redaktor techniczny „Robotnika”.

„OBI” wychodziło w latach 1987 – 88. Nakład kolejnych numerów, regularnie przekraczający 1000 egz. rozchodził się błyskawicznie. Nie bez znaczenia było to, iż pismo rozdawano bezpłatnie, a jego format (kartka lub dwie A4) umożliwiał kolportowanie go jak ulotki. Dlatego numery „OBI” prawie się nie zachowały. Widać to nawet w oficjalnych opracowaniach historycznych, np. Dariusz Cecuda w swoim leksykonie prasy podziemnej wspomina o POR-owskim okresie „OBI”, nie pisze natomiast nic o trwającym dużo dłużej i pod każdym względem (ilość numerów, nakład, poruszana tematyka, poziom ogólny) bardziej owocnym czasie, gdy wydawaniem biuletynu zajmowała się GP „Robotnik-Bródno”.

Warto przypomnieć, że pierwsze oficjalne pismo dzielnicowe, ursynowskie „Pasma” powstało później, bo w 1987r. i dysponowało nieporównywalnie większymi możliwościami technicznymi. Po 1989r. gazety dzielnicowe, osiedlowe czy wiejskie stały się normalnym zjawiskiem w zmienionej polskiej rzeczywistości. Ale nie da się jednak ukryć: „OBI” było pierwsze.

Krzysztof Biernacki



Muzeum Archidiecezji Warszawskiej

Sztuka z podziemną kuchnią

Wkilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego, historyk sztuki Aleksander Wojciechowski zgłasza się do księdza Andrzeja z prośbą o pomoc. Informuje go, że w ogólnopolskim konkursie na plakat „Solidarności” wzięło udział liczne grono artystów. Projekty te stanowią cenny dokument epoki. Znajdują się w Zachęcie. Nie są tam bezpieczne. Czy ksiądz zdecyduje się na ich przechowanie? – Oczywiście – odpowiedział natychmiast ksiądz.

Tym bezpiecznym miejscem dla solidarnościowych dokumentów stało się Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, reaktywowane w 1980 r., którego dyrektorem był od samego początku, i jest do dziś, ks. Andrzej Przekaziński (fachowiec, historyk sztuki). Lepszego wtedy miejsca dla takiej sprawy, być nie mogło, choćby ze względu na dzieje tej wyjątkowej placówki, od jej zarania ściśle powiązane z dramatyczną historią Ojczyzny.

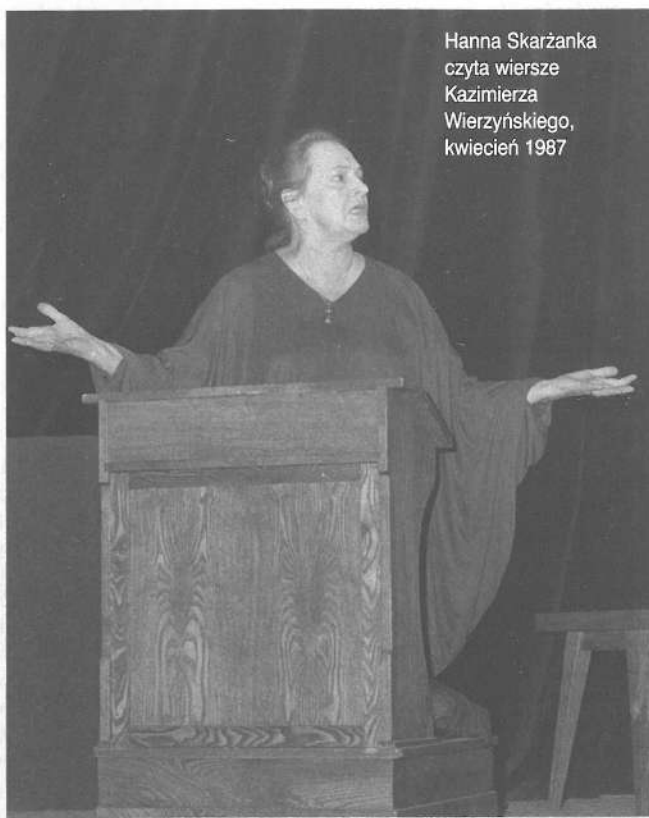
W 1979r. komuna oddała na siedzibę Muzeum Archidiecezji Warszawskiej część potrynitarskiego klasztoru przy ul. Solec 61, na Powiślu. Po trudnym remoncie zdewastowanego obiektu, otwarto je w 1980 r.

+ + +

Jeszcze przed otwarciem placówki na Solcu, w górującej nad warszawską Starówką wieży Kościoła Św. Anny przy Placu Zamkowym, bezdomne Muzeum wykreowało w 1980 r. dwie ważne wystawy: malarstwa ks. Jerzego Wolfa oraz rzeźby Alfonsa Karnego (część prac z tych wystaw artyści przekazali w darze do kolekcji Muzeum). A pierwszą wystawą w nowej siedzibie na Solcu był pokaz malarstwa (religijnego) Jerzego Nowosielskiego oraz srebrnych plakietek wotywnych Stanisława Szenica. W stanie wojennym, jak i w dalszych latach 80., co roku odbywały się tu od 6 do 10 wystaw sztuki dawniejszej oraz współczesnej, zawsze profesjonalnie przygotowanych, nad czym czuwał główny ich inicjator, ks. Andrzej Przekaziński.

Znany artysta malarz Jacek Sempoliński, od początku blisko związany z Muzeum, wspomina: „Ksiądz Przekaziński, młodzieniec wówczas, jeszcze nie był dla nas po prostu Andrzejem, był dyrektorem. Tryskał entuzjazmem, był inicjatorem, budził powszechną sympatię. My nagle poczuliśmy się lepsi. Malować, pisać dla Muzeum – takie plany rosły w sercach wielu uczestników otwarcia. Po wprowadzeniu stanu wojennego, po zerwaniu Kongresu Kultury Polskiej, aresztowaniach, oczywistym się stało, że ustanowienie bojkotu oficjalnych środków przekazu i państwowych instytucji, jest koniecznością. Ze trzeba żyć inaczej niż dotąd, może nawet inaczej tworzyć. Muzeum Archidiecezji pojawiło się wówczas jako opoka i dzięki działalności i postawie Dyrektora, opoką taką było przez wiele lat. Gmach tętnił życiem – zawsze można było tam pójść, nabrać otuchy, coś ciekawego zobaczyć. Nade wszystko można było istnieć”.

Trochę przesady jest z tym „gmachem”, ale faktem pozostaje, że mimo obiektywnej ciasnoty odby-



Hanna Skarżanka
czyta wiersze
Kazimierza
Wierzyńskiego,
kwiecień 1987

fot. Erazm Ciołek

wały się tam liczne, wspaniałe wystawy sztuki kościelnej. Ważne też były pokazy mistrzów dawniejszych, prezentowanych osobno, jak Goya, Dürer, Rembrandt i jego krąg, czy też takich znakomitych polskich twórców, jak Wojciech Kossak, Jan Matejko, Jacek Malczewski, Stanisław Wyspiański, Henryk Siemiradzki, Julian Fałat, Władysław Skoczylas, Józef Mehoffer, Józef Pankiewicz i Zygmunt Waliszewski. W kilku dużych wystawach, tytułowanych jako „Świadectwo wspólnoty”, zderzało się z tymi mistrzami po kilkudziesięciu współczesnych wybitnych malarzy starszego i młodszego pokolenia, m.in. Józef Czapski, Jan Lebenstein, Tadeusz Kulisiewicz, Jerzy Nowosielski, Jerzy Tchórzewski, Jacek Sempoliński, Barbara Zbrożyna, Irena Snarska, Gustaw Zemla, Stefan Gierowski, Janusz Eysmont, Bohdan Urbanowicz, Maria Anto, Teresa Pągowska, Irena Snarska, a z młodszego ówczesnie pokolenia Izabela Gustowska, Janusz Przybylski, Felicjta E. Chachaj, Jacek Waltoś, Henryk Waniek, Janusz Przybylski, Marek Sapetto, Rafał Strent, Wiesław Szamborski, Tadeusz Boruta...

„Świadectwo wspólnoty”, „Świadomość tradycji”, „Pamięć” dedykowana Powstaniu Warszawskiemu, „Pod gwiazdą Piołun”, „Via Crucis”, „W drodze” – to tylko niektóre ze znaczących wystaw zbiorowych. Np. ta ostatnia, prezentująca kilku młodych (lata 60-80.), zbuntowanych ideowo i zarazem prawdziwych malarzy krakowskiej grupy „Wprost”: Maciej Bieniasz, Zbysław Grzywacz, Leszek Sobocki, Jacek Waltoś – została poświęcona z myśleniem o pracy twórczej takich sławnych świadków swojego czasu, jak Bosch, Bruegel, Lucas v. Leyden. Każdej wystawie

towarzyszyły znakomite teksty znanych historyków sztuki i krytyków, jak Jan Białostocki, Magdalena Hniedziwicz, Maciej Gutowski, Andrzej Osęka, Wojciech Skrodzki, Aleksander Wojciechowski, Wiesława Wierchowska, Danuta Wróblewska.

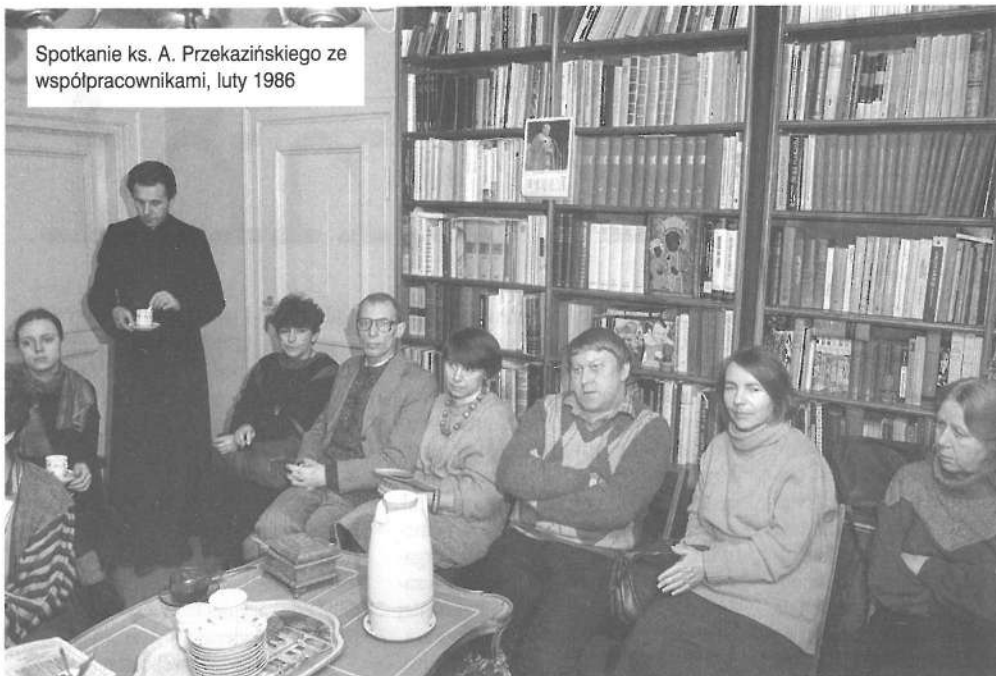
„Skupialiśmy się na Solcu – wspomina Danuta Wróblewska, związana z Muzeum od zimy 1983 – jak na Arce Noego, albo w wysokogórskim schronisku, pomiędzy żywiołami, ale bezpiecznie. Żyliśmy wówczas w stanie ruchu, odwrotnie do typowo muzealnych przyzwyczajęń, zanurzeni w sztuce i jej wieloletnich objawieniach, ciągle z ręką na żywym organizmie plastyki. Wielu artystów odwróciło się wówczas w wyborze od kłopotów i nieszczęść przyziemnych, poszukując harmonii wyższych lub torując w sobie drogę do Prawdy. Dojrzało się wtedy w przyspieszeniu, egzamin był trudny. Kiedy przygotowywałam pierwsze duże wystawy na rok 84 – tkaniny artystycznej, Lebensteina, Dziędziory, Sempolińskiego i Siennickiego – nie trzeba było już niczego komukolwiek tłumaczyć, na wypródkę do Muzeum się niosło i wiozło rzeczy z pracowni. Kiedy przygotowywałam pierwsze graficzne kształty katalogów wystaw i ich profesjonalnego eksponowania, następnego dnia po potrzebie do pracy stanęli Jan Kosiński i Hubert Hilscher. I tak na Solcu potrafilimy świętować do dwudziestu wernisaży wystaw, zazwyczaj podwójnych. Podwójnych, bo wiązały one osobno, ale obok siebie, obiekty sztuki dawnej i współczesnej, tradycję z nową ekspresją.”

+ + +

Profesjonalny duet: ks. Przekaziński – Wróblewska, który inicjował wszystkie wystawy, zapewniał zdarzenia na wysokim poziomie. Pod znakiem sacrum objawiała się rzeczywistość, obrazowana przez współczesnych twórców, w kontekście wielkiej dawnej sztuki, historii i aktualnych wydarzeń. Dużo ten wspomagało wielu ludzi, m.in. Krzysztof Burek, który redagował i składał wszystkie druki i katalogi. Jak wspomina, końcowym etapem tych prac – a wielką rolę miała w nich maszyna IBM z wymiennymi głowicami, obsługiwana przez Zosię Bohdanowicz, na co dzień nauczycielkę matematyki – był druk, a ściślej wielogodzinne odbijanie na kserografie, schowanym w piwnicy, za jednym z regałów muzealnej biblioteki. Na każdym katalogu umieszczaliśmy, aby stworzyć pozór zgodności z obowiązującymi przepisami, informację: „Wydano w nakładzie 99 egzemplarzy”, co oczywiście nie miało żadnego związku z wydawniczą rzeczywistością.

Pamięć podsuwa obrazy, kadry z „pracy i dni” wspólnoty – wspomina Krzysztof Burek – które tło tworzyły dzieła sztuki wypełniające muzealne sale, docierające do najdalszych zakamarków odgłosy koncertów i spektakli. Gabinet ks. dyrektora zamieniany każdego wieczoru na garderobę aktorską – jak z rękawa sypie anegdotami Andrzej Szczepkowski; robi się kolejną wystawę – Jan Kosiński i Małgorzata Terlikow-

Spotkanie ks. A. Przekazińskiego ze współpracownikami, luty 1986



fot. Erazm Ciołek

ska krąży wśród porozkładanych obrazów, które pod ich dyktando wieszają na ścianach Tomek Maslyk, Paweł Kal, Bogdan Zygmunt; słyhać (z taśmy magnetofonowej) głos Józefa Czapskiego, witającego tłum gości zgromadzonych na otwarciu jego wystawy; nie się po muzealnych salach śpiew Danuty Rinn, trwa cieszący się wielkim powodzeniem spektakl „Boże, nie daj nam siebie utracić”, na dziedzińcu ustawia się długa kolejka, dziś „Raport z obłożonego miasta” Przemysław Gintrowskiego i Zbigniewa Łapińskiego, Hanna Skarżanka i Maria Chwalibóg na kuchennym stole rozkładają swoje „biuro koncertowe”, spogląda na nie z dużej fotografii zawieszanej na filarze ks. Jerzy Popiełuszko – niedawno częsty gość Muzeum, spiritus movens aktorskiej działalności. Niemal co dzień można spotkać Erazma Ciołka, dokumentującego muzealne nabytki i tłumne wernisaże, Janinę Jankowską, która nagrywała spektakle i koncerty i produkowała kasety z ich nagraniami.

+++

Duch i klimat tego miejsca sprzyjał niezwykle wydarzeniom. Jednym z nich była zaskakująca dla wszystkich wystawa Stefana Gierowskiego, „żelaznego” abstrakcjonisty, który nagle pokazał zupełnie coś innego. Kwalifikowany jako „filozof przyrody”, racjonalista zagłębiany w dociekaniach plastycznych, zmierzyl się oto z wielkim tematem eschatologicznym, malując przez dwa lata (1986 – 87) 10 wielkich obrazów do Dziesięciorga Przykazań. Jak wspomina inny znakomity malarz, J. Sempoliński – stworzył monumentalne dzieło, „Dekalog”, wykorzystując wszystkie „prawa” nowoczesnej sztuki abstrakcyjnej, swoje własne doświadczenia i mistrzostwo, a dziesięciorgo przykazań potraktował jako prawa właśnie, bo wśród praw sztuki zawsze tworzył. Zjednoczył więc siebie, sztukę i sacrum. Wywołał kontrowersje, mówiono, że zaprzeczył sobie, że obrazy są brutalne i dysharmonijne. Ale te obrazy to szczyt osiągnięć Gierowskiego, ryzyko podjęte dało malarstwu twardość i niepokojącą głębię. Głębię dwuznaczności, bo dwoista jest natura ludzka, dwoisty byt.

Nie dziw, że z okazji tej wystawy doszło do spotkania Gierowskiego z Krzysztofem Kiesłowskim, który już wcześniej zaczął realizować swój filmowy „Dekalog”. Obaj twórcy uczestniczyli w dyskusji, z udziałem publiczności.

+++

Muzeum stało się szybko ważną instytucją i żywą placówką wolnej kultury, ale bardziej na zasa-

dzie salonu, grupującego także „nawróconą” artystyczną „elitę peerelu”. Były to szczególne czasy – zapisał Jacek Sempoliński: komuniści przystępowali do spowiedzi i Komunii, czytali teksty święte przed ołtarzem, zamiast pisać wiersze o Magnitogorsku rozważali tajemnicę Trójcy Świętej. Gremialne „nawrócenie”, dziś traktowane półzartobliwie, w tamtych latach było szczere. Nawet, jeśli przyjąć, że podłożem były sprawy polityczne, Duch Święty swoje jednak robił.

Centrum instytucji – że wspomnę jeszcze Sempolińskiego – stała się, obok sal wystawowych, kuchnia w podziemiach, gdzie nieoceniała Hanna Skarżanka, jako królowa, stała przy garze z zupą i każdego kto przyszedł pytała: jadłeś?... i karmiła. Na górze toczyło się podziemne życie kulturalne, a w kuchni zawiązywały się nowe przyjaźnie, cementowały stare. Dyrektor pomieszał trochę zupę i biegi dalej. Wszyscy wspominają ją jako damę, Muze salonu, jakby nie dostrzegając, co poza tym robi. A była, tak jak Wróblewska w plastyce, główną w tym miejscu siłą, przyciągającą i organizującą środowisko teatralne, filmowe i estradowe. „Gdzieś w lipcu 1982 r. – zapisała aktorka – Ksiądz Jerzy Popiełuszko zaproponował mi wizytę w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej, poznał mnie z ks. Andrzejem Przekazińskim. Padł pomysł zorganizowania koncertów w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej,

myślałam, że chodzi o mój osobisty występ, ale okazało się, że obaj księża myślą o stałych koncertach poetyckich z udziałem moich kolegów. Ze strachem zajęłam się organizacją koncertów, doświadczając pomocy ks. Andrzeja (...), rozpoczęłam pracę, która trwała bez przerwy sześć i pół roku, a nazwałam ją „drugim obiegiem” aktorskim. Z konieczności praca ta musiała się opierać na koncertach poetyckich i działaniu w węższym zakresie, nie mogliśmy sobie pozwolić na wystawianie sztuk. Robiliśmy teatr mały i skromny, ale własny, prawdziwy – teatr bez kłamstw.”

Rozmaitych premier, wieczorów poezji, pieśni i muzyki było ponad 50, a ich przedstawień w I. 1983 – 89 ok. siedmiuset. Pierwszy koncert, połączony z wystawą Jacka Malczewskiego, to „Bogurodzica, Ojców moich śpiew” – w wykonaniu Piotra Szczepanika. Miał ogromne powodzenie, szedł co tydzień, dwa razy w sobotę i raz w niedzielę. Zaraz koncert norwidowski pt. „Gdybyście wiarę mieli”, w wykonaniu samej Skarżanki i Janusza Olejniczaka, który zagrał Chopina i Bacha. Szybko dołączyła Maria Chwalibóg z koncertem Mickiewiczowskim, Jan Englert z „Wielkimi monologami romantycznymi”, Krzysztof Kolberger z „Poezjami Czesława Miłosza”. Rozbiła się bania z poezją, muzyką i pomysłami, dołączyli Halina Mikołajska, Anna Kamieńska, Andrzej Szczepkowski, Maja Komorowska, Gustaw Holoubek, Marek Bargiełowski, Daniel Olbrychski, Mateusz Świącicki, Zbigniew Zapasiewicz i wielu innych. Przypominali o korzeniach, sięgając do średniowiecznej „Bogurodzicy”, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, nie zapominając też o współczesnym słowie Jana Twardowskiego, Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta.

Wydarzeń, jak i ludzi z nimi związanych, było oczywiście dużo, dużo więcej. W żadnej „bibule” nie da się tego opisać. Spektakle reżyserowane przez Jana Zelnika („Brat naszego Boga” Karola Wojtyły), Daniela Bargiełowskiego („Hajze na Soplicę”), czy Krystyny Berwińskiej („Biblia Polska”), ważne panele z udziałem historyków i pisarzy, kontakty z innymi ośrodkami kultury niezależnej w kraju, a jeszcze prześladowania. Koledzy nasi – wspomina Skarżanka – byli śledzeni, zatrzymywani i rewidowani na drodze, niektórym uszkodzono samochody, innym urządzano rewizje. Andrzej Szczepkowski i Krzysztof Kumor uciekali od śledzącej ich „państwowej” wołgi przez czterometrowy mur we Wroclawiu, ja omal nie wpadłam w nocy do kopalni odkrywkowej pod Koninem, Marysia Chwalibóg często siedziała na „Mostowie”.

Hugon Bukowski



otwarcie wystawy Józefa Czapskiego, 16 maja 1986

fot. Erazm Ciołek

Międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny w Łodzi

RYBKKA i inni

Jedną ze struktur poziomych podziemnej „Solidarności” w Łodzi była Międzyzakładowa Komisja Koordynacyjna – MKK. Jej samorzutne zadziernięcie się datować trzeba na pierwsze tygodnie i miesiące po 13 grudnia 81.

Trudno jednak precyzyjnie ustalić z relacji żyjących osób jak te początki wyglądały poza tym, że Janina Kończak, Bolestaw Ceran, Marian Juraszczyk, Tadeusz Szafranski, Roman Przybyliński, Zygmunt Ciechański czy Marek Turcki, nic o sobie wzajem nie wiedząc, zapoczątkowali tworzenie się najpierw największych grup okołozakładowych, a w ślad za tym dwu struktur poziomych pomiędzy rozmaitymi zakładami przemysłowymi na Bałutach /Teofilów przemysłowy/ i w dwu fabrykach odzieżowych /„Teliminie” i „Próchniku”/ – właściwej macierzy MKK.

Struktura ta rozwijała się, dając parokrotnie efekt kuli śnieżowej, co jakiś czas topniejącej. Dopiero po wpadce grupy przygotowującej się do wydania pisma „Gotowość” Antoni Chyliński przybiegł do kolegów, z którymi współpracował po internowaniu, z pałacą inicjatywą ratowania tego, co po niedoszłych wydawcach „Gotowości” da się ocalić i kontynuacji ich pracy pod nazwą MKK i szyldem prasowym „Gotowości”, skoro Przybyliński i inni siedzą w śledztwie. Tak z dwu niezależnych wzajem grup powstaje jedna MKK/1985/. Być może należałoby ją nazwać nową MKK zważywszy, że to przejście pałeczki w sztafecie wiąże się ze zmianą kręgu odbiorców, bo aresztowania zrywają nici dotychczasowego kolportażu.

Wszystko to trudno dziś bez naciągania i dobrej podstawy źródłowej opisać. Ta trudność płynie z samego charakteru obu początkowych inicjatyw: są one tak amorficzne, organizacyjnie nieustrukturyzowane, rzec trzeba: nieformalne, improwizowane, zupełnie ochotnicze – niewielkie koalicje chętnych. Jedna z nich celowo nie ma żadnej nazwy, co stwarza ryzyko, że jakkolwiek opis jest nadawaniem rang, ról kierowniczych, powiązań temu co ich na co dzień nie miało. Byli wśród inicjatorów rzutcy, odważniejsi czy bardziej pomysłowi ludzie, ale nie żywili potrzeby ustanawiania kierownictwa, współpracowali wzajem w tamtej trudnej sytuacji, by swe macierzyste środowiska wspomóc, dokończyć jakiejś wymiany bibuły czy informacji, spróbować pomysłów, by zamantestować, że „Solidarność” żyje,

choćby zepchnięta w oficjalne nieistnienie. Ci ze „Stomilu” dostarczali rękawice gumowe, inni – butle z helem. Napełnione tym gazem baloniki (z rękawic) uniosły kilka transparentów „Solidarności” ponad głowami ZOMO. Takich improwizacji – owszem, udanych – było więcej. Nieuchwytność struktur współdziałania ośmielała jednych, a ośmieszała drugich. Kierowcy z MPK wpadli na pomysł ułożenia na rozgrzanym asfalcie napisu „Solidarność żyje!” z kapsli po kazonnej wodzie mineralnej. Jadące autobusy wprasowały ten napis w jezdnię. Bezpieka nie wiedziała, czy nie zauważać, że żyje..., czy jezdnię zerwać.

RATOWANIE GOTOWOŚCI

Inicjatywa Antoniego Chylińskiego/1985/ uratowania „Gotowości” i szyldu MKK dobrze została obrana, zwłaszcza, że Antek całą duszą wziął się za pismo, redagował, pisał, drukował. Trafił w dziesiątkę wiążąc się od ewakuacji drukarni, przy redagowaniu gazety, druku i kolportażu z Zygmuntem Ciechańskim, już wcześniej aktywnym nie tylko w Centrali Rybnej, w której przewodniczył legalnej i podziemnej „Solidarności”, ale obecnym również we wspomnianych poziomych strukturach współpracy, które Ciechański, Ceran, Juraszczyk, Elżbieta i Andrzej Trynkusowie i inni animowali od pierwszych tygodni stanu wojennego. Ciechański obsługiwał te luźną strukturę oporu, zaopatrywał w bibułę i... ryby. Dlatego przygłębło do niego miano: Rybka, choć nikt w całej organizacji nie używał pseudonimów czy innych instrumentów konspiracyjnych.

Antoni Chyliński miał niegdyś silne zdrowie nadszarpnięte więzieniem stalinowskim, internowaniem i niejedną życiową poniewierką. Bezrobotny, bez środków do życia, leczenia się, nie oglądał się na biedę, pisał. Zył wyłącznie „Solidarnością”. Zmarł po dwu tygodniach choroby w lutym 1986 r. Cała MKK odprowadziła go na ostatni

spoczynek. Rybka z Tadeuszem Szafranskim i innymi zdwoili wysiłki, by nie zaprzestać „Gotowości”, rozszerzyć jej kolportaż, zaproponować inne inicjatywy. Ciechański zdołał uruchomić drugie pismo, adresowane do emerytów: „Senior”. To był odzew na żywą aktywność „weteranów pracy”, jak wówczas tytułowano rencistów i emerytów. Powołana została do życia organizacja emerytów, licząca w chwili założenia co najmniej 300 osób. Później jedna jej część znalazła locum w Parafii św. Józefa przy Ogrodowej, druga, od połowy 1987r. – w salezjańskiej Parafii św. Teresy przy dzisiejszym Rondzie „Solidarności” w Łodzi.

Zachowały się w kompletnym stanie zapiski koordynatora MKK i głównych baz kolportażowych, dotyczące rozliczeń prasy, książek, znaczków pocztowych, cegiełek. Zapiski te zgod-

nie wskazują nakłady bibuły kolportowanej w Łodzi, a także importowanej z Wrocławia, Warszawy, Gdańska. Liczby są imponujące w przeliczeniu na cykle dwutygodniowe czy tygodniowe. Obie struktury kierownicze regionu łódzkiego, ostro ścierające się ze sobą od przełomu 1985/86, nie zamawiają porównywalnych liczebnie nakładów, ani

ich nie wytwarzają same.

ROBOTA ZWIĄZKOWA

Rybka i inni nie aspirują do zawiadywania jakąkolwiek organizacją, robią swoje, do lata 1987 wyłącznie rozszerzając kolportaż. Zapiski się urywiają, gdy w maju 1987 Rybka zostaje wyeliminowany przez Służbę Bezpieczeństwa z dalszego udziału w MKK. Jego następcy, Tadeusz Szafranski czy Edward Pińkowski, nie dysponują samochodem, ani czasem, nie są w stanie prowadzić wszystkiego w tej skali. Niemniej MKK swoją rolę animatora spełniła. Struktura działa jak sprawny zegarek, prasa i książki nadchodzą, odbiorców nie ubywa. Włodzimierz Bartzczak, jeden z liderów MPK w Łodzi wspomina, że działaniu tajnej Komisji Zakładowej, wydającej własne pismo „Między Przystankami”

oddech dało właśnie MKK: „to była zwykła robota związkowa: składki, zasiłki czy pomoc członkom Związku wśród załogi tramwajów i autobusów miejskich”. Dopiero „szerszy dopływ” wolnego słowa z Łodzi i z całej Polski, pielgrzymki na Jasną Górę, czy wyprawy na Wykus z kombatanami AK, wakacje w peryferyjnej parafii ks. Jana Umińskiego w Sulejowie, uczestnictwo w szerszych manifestacjach czy akcji edukacyjnej było naprawdę interesujące, otwierało horyzonty...”.

„Solidarność” wychodząca ponad własny zakład pracy, to była ta istotna treść, szersza więź, wzmożenie nadziei zwycięstwa. Zygmunt Ciechański wspomina, że przeszedł krótki ale owocny kurs takiej, dojrzałej solidarności, bo gdy zaczął w swej Centrali Rybnej we wrześniu 1980 r., był nieprzygotowany, miał niewielką wiedzę i niemal żadne doświadczenie w społecznym działaniu. Nie czytał i nagle rozczytał się w wolnym słowie.

Ludzie angażujący się w MKK sami często z elementarnym jedynie wykształceniem, zaopatrywali w poważne książki historyczne, polityczne czy literackie rozmaite środowiska, także środowiska akademickie! Czuli, że kolportaż jest tylko narzędziem budowania, odbudowy i podtrzymywania więzi, odzyskiwania społecznego zaufania i konsolidacji sił potrzebnych, gdy przyjdzie do targów z nie uznającą ról społecznych władzą partyjno-państwową. Równocześnie ludzie ci praktykowali pluralizm podtrzymując związki z rozmaitymi centrami kierowniczymi: lokalnymi, gdańskim czy warszawskim, z rozmaitymi partiami czy orientacjami: KPN, „Solidarnością Walczącą” we Wrocławiu czy innymi, a przede wszystkim praktykowali go kolportując całą paletę prasy i książek zróżnicowanych programowo wydawców. Ten programowy pluralizm sprawił, że nie dogadali się jesienią 1984 z liderami regionu, którzy zabraniali „Gotowości” powiązań z poligrafiami KPN.

Notatki i rozliczenia kolportażu sumują się do 8510 egz.prasy w cyklu dwutygodniowym lub tygodniowym z czego 6280 egz. oferowanych jest ze strony głównego koordynatora [Zygmunta Ciechańskiego „rzeczonego Rybki” a 2230 egz. nadchodzi z „importu”, przywożona przez wrocławian czy gdańszczan. Nie uwzględniam tu Warszawy, z której do Ciechańskiego i poprzez niego trafia „Tygodnik Wojenny”/później „PWA”, „Tygodnik Mazowsze”, „Wola” i okazjonalnie inne jeszcze tytuły /jednorazowo ok. 400 egz./ oraz książki Nowej, Kręgu, Myśli, Prześwi-



ZABYTKI ZIEMI WSCHODNICH



Zwizszek Emerytów i Rencistów

tu czy Oficyny Literackiej z Krakowa. Nie mogę szacować do ilu rąk /i głów/ docierała prasa płynąca tymi kanałami kolportażowymi. Ale była to nawet jak na aglomerację milionową pokaźna liczba odbiorców, zwłaszcza jeśli zważyć, że nie byli to czytelnicy zamożni /np. renciści czy włókniarze/ i wydatek na gazetkę rekompensowany był często zaczytywaniem jej z rąk do rąk, a nie oddaniem na makulaturę. Podpatrzenie zjawiska ofiarnego, rzetelnego kolportażu przez biorących w nim udział emerytów czy rencistów zdecydowało, że Ciechański, Marek i Lucyna Woźniak, pp.Gajewscy i inni stawiali na udział tych ludzi, z nadwyżką wolnego czasu, w rozbudowie kolportażu.

BIBUŁA UCZYŁA CZYTAĆ

W kręgu MKK znajdziemy osoby o różnicowanym wykształceniu, wieku, zawodzie, stosunkowo dużo kobiet. Średnia wykształcenia czy formalnego przygotowania jest jednak niska, a właśnie ci ludzie nieźle sobie radzą w podziemiu i to oni kolportują wolne słowo wśród lepiej i gorzej od nich samych przygotowanych czytelników. Odkrywają ich tam także, gdzie nikt dotąd nie czytał, potrafią te nowe kręgi wciągnąć do systematycznej pracy. Nawiązują dostatecznie wiele kontaktów, by oceny SB/1988/, że „sprawujemy pełną operacyjną kontrolę nad działalnością MKK” wzbudzały wątpliwość, czy kontrola przy tej mnogości podmiotów jest rzeczywiście możliwa. Bezpieka zmusza do zawieszenia działalności Zygmunta Ciechańskiego w maju 1987 (krąży zarzut zdrady, być może wprowadzony za pośrednictwem tych ludzi z MKK, których udało się pozyskać SB). Nie paraliżuje to jednak rozkręconej maszyny kolportażu, może odbiera mu jedynie impet, dynamikę wzrostu pochłanianych przez podziemny rynek egzemplarzy bibuły. Prewencyjne zatrzymania przed wizytą Jana Pawła II w Łodzi noszą charakterystyczne adnotacje szefa bezpieki /plk.Czesława Chojaka/ „Ciechański, Aleksandra Więckiewicz, Ireneusz Kowalski i kilkoro innych: najbardziej niebezpieczny działacz, organizator wielu mieszkań konspiracyjnych, próby pozyskania zakończone kategoryczną odmową, potrzeba bezwzględnej prewencyjnego zatrzymania w interesie ładu i porządku publicznego w tych dniach” [dniach wizyty papieskiej – przyp. J.S./Archiwum IPN sygn.Ld 0040/576 i in/.

Nadchodzi wówczas inny czas – konieczności reintegracji regionu i wyborów politycznych, czemu następcy Rybki poświęcają znaczną uwagę, pozostawiając samoobsługę struktur zakładowych im samym, już bez pomocy dostaw w ramach MKK, często – z udziałem wypracowanych w niej dróg, ale w sposób w pełni zdecentralizowany, nawet – rozproszony. Ważne, że sieć kolportażowa nie zaważyła się, SB nie udało się wstrzymać tego żywego krwioobiegu łódzkiego społeczeństwa podziemnego. Józef Śreniowski

„Colloquium Narodów” u ojca Miecznikowskiego

Przesłanki pojednania

Stefan Miecznikowski urodził się 25 sierpnia 1921 w Warszawie, zmarł 27 grudnia 2004 w Gdyni. Do Łodzi przyjechał po raz pierwszy w 1967 r. W niepodległej Polsce został jej honorowym obywatelem i najpopularniejszym łodzianinem ostatniego piętnastolecia.

Opowiem tylko o jednej z jego wielu inicjatyw.

Jest stan wojenny. Jezuita, ojciec Stefan Miecznikowski – kapelan „Solidarności” – niemal natychmiast dociera do rodzin uwięzionych i internowanych. Od razu też organizuje w Łodzi w kościele jezuitów przy ulicy Sienkiewicza 60 Duszpasterstwo Środowisk Twórczych, a przy nim Ośrodek Pomocy Uwięzionym i Internowanym. Spis podopiecznych jest stale uzupełniany, rośnie liczba osób pragnących z ośrodkiem współpracować, oddających swój czas i energię do dyspozycji ojca Miecznikowskiego. Właśnie tak – OJCA MIECZNIKOWSKIEGO. Bo o inicjatywach Duszpasterstwa: tych „tytułowych” czyli kapłańskich oraz charytatywnych i kulturalnych mówi się po prostu: „pomoc ojca Miecznikowskiego”, „spotkania środowe u ojca Stefana”, „Msze za Ojczyznę ojca Miecznikowskiego”. Sam ojciec Stefan odwiedza bez wytchnienia więzienia i obozy internowanych rozsiane po Polsce.

Do ojca Stefana garną się ludzie ofiarni, sprawni organizacyjnie, naładowani pomysłami. Wśród nich pojawia się zrealizowany w październiku 1987 r. pomysł Tomasza Filipczaka i Mirosława Michalika – symposium zatytułowane „Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy – przesłanki pojednania”. Choć pomysłodawcy są także głównymi realizatorami symposium, to przecież nie dałoby się go urzeczywistnić bez ojca Miecznikowskiego. Więc jeśli nawet udałoby się symposium zorganizować, to nie ściągłoby ono tak świetnych autorów i – co może nawet ważniejsze – tych najbardziej zainteresowanych: obywateli polskich z pochodzenia Litwinów, Białorusinów i tych najliczniejszych – Ukraińców. Ich obecność stwarza niepowtarzalny klimat umożliwiający nieskrępowane dyskusje, szczerze rozmowy, budzenie się nadziei. Przyzna to później sam ojciec Stefan we wstępie do wydanych drukiem w 1990 r. materiałów z symposium. Szerzej opowie mi o tym Tomek Filipczak: jak to Ukraińcy uprowadzili bezszmerowo wieczorem „swojego” prelegenta, Włodzimierza Mokrego i jak on odnalazłszy się nazajutrz, nie mógł powstrzymać łez opowiadając o swoim z nimi spotkaniu.

Mogłam to sobie doskonale wyobrazić, ponieważ kilka lat później uczestniczyłam w Chicago podczas pobytu tam Włodzimierza Mokrego, wówczas już posła na Sejm Rzeczypospolitej wybranego z listy Komitetu Obywatelskiego w spotkaniu z nim. Było to spotkanie Ukraińców i tej grupy Polaków, która – podobnie jak ukra-

ińscy gospodarze – rozumiała wagę polsko-ukraińskiego porozumienia. Na Mokrego patrzyliśmy wszyscy jak na zwiastuna dobrej nowiny. Niestety, po ukazaniu się w „Dzienniku Związkowym”, gdzie wówczas pracowałam mojego z nim wywiadu, do redakcji i do mnie osobiście napłynęły listy, w których nazywano polskiego posła i mnie „ukraińskimi nacjonalistami” i żądano przerwania „zмовy milczenia” na temat ukraińskich zbrodni. Może, gdyby w takich skupiskach Polonii jak Chicago, dało się pod patronatem Kościoła zorganizować podobne symposium, takich listów po wywiadzie z laureatem nagrody Fundacji Jana Pawła II byłoby mniej (Mokry otrzymał ją w 1987 r.).

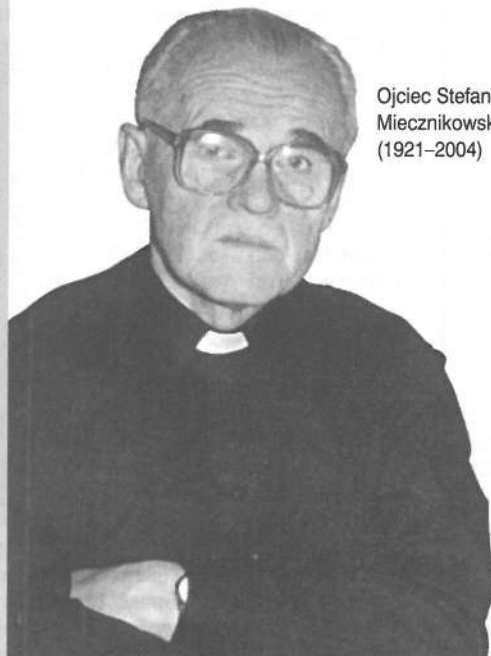
Poseł Mokry odwiedził Chicago, w 2 miesiące po ukazaniu się nakładem Tomasza Filipczaka materiałów z Symposium „Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Polacy – przesłanki pojednania”. We wstępie do tej książeczki zatytułowanej „Colloquium Narodów” ojciec Miecznikowski napisał, że zrodziło się ono „ze wzrastającej potrzeby rzeczowej i braterskiej rozmowy na ten temat”, któ-

ra „pojawiła się na gruncie nie tyle polityczno-społecznym, co moralno-psychologicznym”. A dalej daje trafiającą w sedno diagnozę moich chicagowskich doświadczeń z Polonią: „Schodzi ze sceny dziesięć pokolenie zbyt bezpośrednio uwikłane w dramatyczne konflikty narodowościowe na naszych ziemiach, zbyt obolałe, by mogło spokojnie podjąć „colloquium caritativum”; dojrzeewa pokolenie bardziej do tego skłonne, bogatsze o doświadczenia lat powojennych, bardziej otwarte”. W tym względzie ojciec Miecznikowski ocenił krótko klimat spotkania jako „bardzo cenny”.

Cenny był także dorobek symposium. Zapisano się ono trwale w tym obszarze

historii stosunków Polski ze wschodnimi sąsiadami, w którym mieszczą się owocne próby pojednania. Wystarczy przejrzeć spis referatów i zatrzymać się na nazwiskach ich autorów, jak choćby Sokrata Janowicza, Władysława Serczyka, Bohdana Skaradzińskiego, Krystyny Śreniowskiej, Andrzeja Vincenza, a także tych, którzy wzięli „na żywo” udział w dyskusji, a wśród nich ks. Władysława Czerniańskiego, Bronisława Komorowskiego, Jana Józefa Lipskiego, Jerzego Tomaszewskiego i Marii Turlejskiej.

Ewa Sutkowska-Bierezin



Ojciec Stefan Miecznikowski (1921–2004)

3 maja 2007 jezuita, ojciec Stefan Miecznikowski został odznaczony pośmiertnie przez Prezydenta RP Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Polonia Restituta. Tego samego dnia krzyżem orderu Polonia Restituta odznaczony został również uczestnik symposium – Bohdan Skaradziński.

Stan wojenny po raz pierwszy

(nowelka eseistyczna)

W ramach rozpanoszonego ostatnio zwyczaju literackiego polegającego na składaniu przez autora różnym osobom opasłych podziękowań, pozwolę sobie – prześladowany przez Opętańczy Bzik Oryginalności (OBO) – z wdzięcznością donieść, komu zawdzięczam inspirację niniejszego. Po pierwsze, Janka Jankowska, która zaprosiła mnie do udziału w audycji poświęconej 25-leciu Porozumień Gdańskich i na dzień dobry zadała wszystkim uczestnikom pytanie: „co robiliście 31 sierpnia 1980 roku?” W temacie tym opowiadałem ponoć ładne historyjki, a potem wpadło mi o głowę, że równie fajne mógłbym zapodać o początkach stany wojennego, którego okrągła rocznica też nadchodzi. Agitowałem więc Jankę, żeby zrobiła kolejną audycję, ale z tego, co wiem, nie doszło do tego. Rocznicą tymczasem minęła i mamy okazję niekonwencjonalnie wspominać. Drugą wskazaną osobą jest redaktor „Bibuły”, Janek Strękowski. Wpadł on na pomysł, aby w obecnym numerze pisać o pierwszych razach, różnych pierwszych razach, a ponadto dał mi carte blanche, o którym z nich napiszę. No to spróbujmy coś napisać.

Czy pamiętacie jak pachniała jesień 1981 roku? Intensywne okresy życia kojarzą się z zapachem, nieokreślonym i świetliście obecnym. Telewizja grzmiała w pretensjach. „Solidarność” zaskakiwała odwagą, rząd spowodował kryzys zaopatrzenia, więc naród zmuszony był do wystawiania w kolejkach po wszystko poza musztardą i octem. Ludzie znosili ten stan nadzwyczaj pogodnie. Ożywieni duchem aktywizmu i porozumienia prowadzili długie rozmowy, w sklepach zaś kupowali zawsze możliwie najwięcej towaru (były komitety kolejkowe ustalające dopuszczalną do nabycia ilość), którym wymieniali się na inny z rodziną, przyjaciółmi i sąsiadami. Życie towarzyskie kwitło, nikt głośno nie powtarzał za telewizją, że z winy związków nie ma masła, a nawet kurzych jaj. Mięsa, wódki i papierosów też nie było, ale wszystko, z nielicznymi wyjątkami, dawało się zorganizować dzięki duchowi ogólnej solidarności przepełniającej społeczeństwo i materializującemu się w ciągłych aktach wzajemnej pomocy. Wobec trwającego nieprzerwanie politycznego igrzyska większość zajmowała postawę życzliwego kibica. Gdy ktoś wieszczył, że Ruskie wejdą, wyśmiewano go jako pani-

Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej

Zaczeliśmy od siebie

Minęło 25 lat od założenia Wydawnictwa Myśli Nieinternowanej. Wydaje się jakby to było wczoraj, a jednak... W ubiegłym roku odeszli od nas Irena Molasy i Wiesiek Wązł, wcześniej: Wiesiek Enzinger (współtwórca struktur technicznych, redakcyjnych i kolportażu), Marek Rożynek (twórca szaty graficznej „Krecika”), Marysia Sowińska (archiwistka, kolporterka). Uzmyslowiło mi to, jak szybko i łatwo nasz ośmioletni wysiłek odchodzi w zapomnienie.

Bo mnie nie zamknęli

Po 13 grudnia 1981 r., po nieudanej próbie namówienia członków Komisji Zakładowej (PKP stacja Kraków Płaszów) do zorganizowania strajku, oraz po nieudanych próbach nawiązania kontaktów z kimkolwiek z tzw. władz Zarządu Regionu Małopolski NSZZ „Solidarność”, uznałem, że świat należy zacząć zmieniać od siebie. Na maszynie do pisania w stacji Kraków Batowice tworzyłem różne hasła i slogany niepodległościowe i następnie roznosiłem je po kościołach, zostawiając w ławkach i przedsionkach ku... pokrzepieniu serc. Po kilku dniach zaniechałem tego procederu. Doszedłem do wniosku, że tylko wydawanie podziemnej gazety wysokonakładowej oraz budowa niezależnych struktur organizacyjnych ma sens.

Nazwa pisma (a później wydawnictwa) powstała 13 stycznia 1982 r. w okolicznościach nieco dramatycznych. W przeddzień, w godzinach południowych, do stacji Batowice, gdzie pełniłem obowiązki zawiadowcy, zadzwoniła nieznana mi kobieta i poprosiła o spotkanie. Powiedziała: „Widziałam donos do SB u dyrektora DRKP, w którym wyraża zdziwienie, dlaczego pan i pani Maria Sowińska nie zostaliście internowani”.

I faktycznie, w dniu następnym o 13.00 wezwany zostałem na ulicę Mogiłską. Niejaki Waśko próbował wymusić na mnie podpisanie deklaracji lojalności. Odmówiłem. Podczas przesłuchania (o ile tak można to nazwać), padających pogroźek o internowaniu, aresztowaniu itd., zrozumiałem, że jedyne czego oni nigdy nie mogą mi odebrać, nigdy nie aresztują czy nie internują, to poglądy i myśli. I tak powstały Myśli Nieinternowane. Do dziś nie wiem, dlaczego nie zostałem zatrzymany, jednak następnego dnia, zastałem przy swoim biurku człowieka, który oświadczył mi, że od dziś on tu pracuje. Była to szczególna forma wyrzucenia z pracy.

Równoległe do działań koncepcyjnych podjąłem próby organizowania struktury podziemnej. Jak to zwykle bywa, w pierwszej kolejności zwróciłem się do najbliższych, których kręgosłup polityczny gwarantował lojalność i dyskrecję. Z perspektywy lat oceniam to jako działanie nieprofesjonalne i ogromnie naiwne. Ale właśnie ta naiwność i nieświadomość problemów była paradoksalnie jedyną gwarancją, że to mogło się powieść. I powiodło się. Gdyby, jak w teorii systemów, za strumień wejścia zdefiniować pomysły i parę rąk (innych strumieni zewnętrznych nie było, nigdy bowiem Wydawnictwo Myśli Nieinternowanej nie otrzymało ani złotówki z zewnątrz), to strumieniem wyjściowym okazało się: 5 tytułów prasowych („Myśli Nieinternowane”, „Sygnał”, „Krecik”, „Krakowski Czas”, „Alternatywa”), książki, wydawnictwa okolicznościowe, pomoc poligraficzna dla innych struktur podziemnych – łączące setki nakładów, ogólnopolskie konkursy literacko-pla-

styczne, projektowanie, produkcja maszyn offsetowych, własne struktury kolportażu, własny podziemny uniwersytet, własna komórka badań opinii publicznej, próby z telewizją podziemną, doskonale układająca się wieloletnia współpraca z Solidarnością Walczącą we Wrocławiu, podziemnymi strukturami KOS i „S” na Akademii Górniczo-Hutniczej oraz innymi, liczne inicjatywy polityczne od 1987 r., a nade wszystko zorganizowanie struktury kilkudziesięciu doskonale współpracujących osób.

Jak już wspomniałem, w pierwszej kolejności propozycję współpracy skierowałem do ludzi, których postawy ideowej byłem pewien. Była wśród nich Marysia Sowińska. Odpowiedziała krótko: „Dlaczego zakał mi pan czekać aż 3 tygodnie?”. Równocześnie złożyłem propozycję Rogali i Hurmanowi (te znajomości umarły w ciągu kilku tygodni), koleżde ze studiów Andrzejowi Dudzie-Dziewierzowi oraz dwojgu pracownikom Biura Projektów Kolejowych: Małgosi Semkowicz (późniejsza twórczyni czołówki Myśli Nieinternowanych) i Adamowi Wątorowi. Za pośrednictwem Piotra Komorowskiego nawiązałem kontakt z drukarzem z Drukarni Kolejowej, który następnie dał kontakt na pracownika małej poligrafii w Wyższej Szkole Pedagogicznej – Zdzisława Owsiankę. On to właśnie wydrukował na swoim wieloakcuzie offsetowym pierwszy numer „Myśli Nieinternowanych”. Poprzez znajomego z „Przekroju” poznałem Wieska Enzinger. Przez Owsiankę – Józefa Smage. W tym samym czasie nawiązałem kontakt z Ewą Gaczoł, a za jej pośrednictwem z Wieskiem Wązłem. Już nie pamiętam, kto poznał mnie z Władkiem Krzekiem (najbardziej zaangażowanym i oddanym sprawie do samego końca). Przez Władka poznałem Irenę Molasy i Leszka Książka (wybitnego konstruktora naszych maszyn offsetowych). Przez Wieska Wązła, z kolei Elę Jakubiec (dziś Krzek) i Jadzię Salij. To tylko cząstka kontaktów z pierwszego półrocza 1982 r. Odkryłem wspaniałych ludzi, miałem zaszczyt być z nimi przez wiele lat i dzięki nim uwierzyłem, że warto.

Dziś uważam, że warto – a nawet trzeba wszystko opisać, chociażby dlatego, że Ci najwartościowisi odchodzą najbardziej niespodziewanie.

Co dalej?

Zapraszam na łamy wznowionych „Myśli Nieinternowanych”.

Chętnie przyjmę teksty opisujące naszą rzeczywistość polityczną i gospodarczą. Zwracam się również o pomoc w odтворzeniu naszej historii. Przesyłane materiały mogą mieć dowolny charakter. Już wkrótce na stronie internetowej zamieszczone zostaną specjalne ankiety.

Planuję wydawanie Myśli w wersji internetowej i w małym nakładzie papierowym. Każdy, kto zechce otrzymać swój egzemplarz, może zamówić e-mailem odpowiedniej pliki i wydrukować w dowolnej drukarni cyfrowej w formacie SRA-3.

Mam nadzieję, że w stosunkowo krótkim czasie, po odnalezieniu większości Kolegów, uda nam się zorganizować spotkanie w większym gronie.

Proszę o kontakt: redakcja@myslinieinternowane.pl.

Tomasz Gugala

„Myśli Nieinternowane” nr1/2007 Kraków
Skróty i zmiany red. „Bibuły”.



Podziemny „Hutnik”

Pióro Parker, i generał

Był jednym z najdłużej ukazujących się podziemnych czasopism. Wychodził co tydzień, a w gorących momentach – codziennie.

Pierwszy numer dotarł do rąk czytelników w styczniu 1982 r., ostatni w maju 1989 r. Początkowo nosił podtytuł „Pismo członków NSZZ „Solidarność”, a od numeru drugiego: „Pismo członków NSZZ „Solidarność”. Drukowany był w formacie A-4 lub A-5 i posiadał objętość od 2-6 stron. Od 1982 do 1989 r. wydane zostały 202 numery. Nakład niektórych numerów sięgał 25 tys. egz. „Hutnika” redagowali i drukowali m.in. Wojciech Marchewczyk, Marek Szczupak, Jerzy Ostrowski czy Leszek Jaranowski. By uchronić się przed wpadkami (a i takie się zdarzały) redakcja „Hutnika” posługiwała się dezinformacją. W stopce pisma można było przeczytać, że „Hutnik” drukowany jest w... Puszczu Niepołomickiej. Działacze podziemia jeździli zresztą specjalnie do puszczy i pozostawiali w niej różne śliski, stare matryce itp. Później w lesie zjawiała się bezpieka i przeczesywała teren...



Hutnik – wyd. spec. 2.01.2007
4 strona okładki

Powstała „Puszcza Niepołomicka”
Kłaz – zbitierka i typograficzka
Nakład 30 + 2 Innowrozwoju
© Witold – Leszek Jaranowski

Zdaniem byłej publicystki pisma, Marii de Hernandez-Paluch, mieszkańcy Nowej Huty byli przekonani, że jeśli „Hutnik” coś pisze, to musi być prawda.

Pismo stało się również wiarygodnym źródłem informacji dla RWE czy Głosu Ameryki. Redakcja „Hutnika” dysponowała informacjami nie tylko z podziemnej „S”, ale również z PZPR. Pomogły sprzątaczką pracującą w Komitecie Krakowskim PZPR, które wyciągały z koszy na śmieci kalki partyjnych dokumentów. Pomogło pióro Parker z wbudowanym nadajnikiem radiowym, o zasięgu 300 m, podarowane I sekretarzowi Komitetu Fabrycznego w HiL, Kazimierzowi Miniurze. Redakcja miała zapisy wszystkich rozmów, również tych w cztery oczy, a SB skutecznie szukało podsłuchu i prulo ściany. Pióro przestało być pomocne dopiero, gdy Miniur został wysłany do Budapesztu.

Wspomniana już M. de Hernandez-Paluch uważa, że tym, co wyróżniało „Hutnika” było, iż inicjatorem jego powstania nie była inteligencja, ale sami robotnicy. Zaś ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, były kapelan nowohuckiej „S”, dodaje: „Hutnik” był jednym z nielicznych

pism skierowanych do konkretnego środowiska”.

Artykuły w „Hutniku” były pisane bardzo ostrym językiem. Nazwiska konfidentów i członków władz PRL pisano małymi literami, posługiwano się również wulgaryzmami. Główny redaktor i wydawca „Hutnika”, Wojciech Marchewczyk, tłumaczy: „To, że pisaliśmy „k...” czy „sk...” mogło szokować, ale takim właśnie językiem posługiwali się hutnicy. Chcieliśmy wtedy oddać ich frustrację”.

W czerwcu 1987 r. gen. Jerzy Gruba, szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Krakowie, obwieścił w Dzienniku Telewizyjnym, że „Hutnik” został definitywnie zlikwidowany. Rzeczywiście, 2 czerwca 1987 r. wpadło centrum poligraficzne i redakcyjne pisma, zatrzymani zostali główny redaktor i wydawca Marchewczyk, główny kolporter Jerzy Rusek i właścicielka domu, w którym mieściło się centrum, Barbara Zientarska. Tęgo samego dnia zlikwidowano również wyposażoną w offsety drukarnię przy ul. Krakowskich Zaków. A jednak następnego dnia ukazał się kolejny numer „Hutnika”, a w nim na czołówce artykuł Jerzego Surdykowskiego „A kuku, generale”. I tak generał Gruba stał się obiektem szyderstw wszystkich niezależnych rozgłośni i redakcji. (mz)

Tekst na podst. artykułów „Podziemny Hutnik” („Głos Tygodnik Nowohucki” 6 kwiecień 2007, nr 14) oraz „A kuku, generale” Wojciecha Herpuli (Gazeta Krakowska” 9 marca 2007).

Sukcesy i nagrody, czyli ile esbecy zarobili na walce z Radiem „S”

W ostatnich miesiącach dużo mówi się o różnej maści agenturze aparatu bezpieczeństwa. W cieniu pozostają zaś ich mocodawcy – funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa i Służby Bezpieczeństwa. A przecież wykonywali oni czarną, niewidzialną pracę.

Postanowiliśmy przypomnieć ich nazwiska i męzne czyny. Oto jeden z rozkazów o nagrodzeniu funkcjonariuszy SB za działania i sukcesy w walce z warszawskim Radiem „Solidarność”. Powstał po aresztowaniu w 1982 r. pierwszego konstruktora nadajników dla radia – inżyniera Ryszarda Kołyszki.

Przy edycji dokumentu zachowano oryginalną pisownię.

Dokument pochodzi z akt osobowych Witolda Gieralta, przechowywanych w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie pod sygnaturą IPN BU 01312/14. Grzegorz Majchrzak

Komenda Stołeczna
Milicji Obywatelskiej
W Warszawie
L[iczbą] dz[ieńnika] K-1351/82
Poufne

Rozkaz nr 76/82
o wyróżnieniu

Od maja br. grupa operacyjno-śledcza ds. kryptonim „Audycja” prowadziła intensywne przedsięwzięcia operacyjne, których celem było ustalenie osób związanych z działalnością nielegalnej radiostacji tzw. „Radia Solidarność”.

Zaplanowane i podjęte wielokierunkowe działania operacyjno-śledcze doprowadziły w dniu 8 listopada 1982 r. do zlikwidowania bazy produkcyjnej radionadajników UKF przeznaczonych dla podziemia kontrrewolucyjnego b[ylej], „Solidarności” oraz aresztowania jednego z głównych konstruktorów tego sprzętu [Ryszarda Kołyszki – red.]

Na bazie zakwestionowanych materiałów elektroniczno-technicznych i dokumentacji można zbudować osiem nadajników radiowych, których dwa identyczne egzemplarze zlikwidowano w dniach 6.06 i 30.08 br.

Za szczególnie wkład pracy i ofiarność oraz zaangażowanie w realizację sprawy następujących funkcjonariuszy wyróżniam premiami pieniężnymi:

kwotą 6000 zł
– p[łk.] S. Gromotowicza – kierownika grupy
kwotą 5000 zł
– por. R[yszarda] Matlengiewicza – kierownika sekcji Wydziału III-2
kwotą 4500 zł
– ppor. A. Kotus – inspektora Wydziału III 2
– ppor. W[itolda] Gieralta – inspektora Wydziału III 2
kwotą 4000 zł
– kpt. St. Korzeniewskiego – inspektora Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego
– ppor. M. Żuczka – inspektora Wydziału III-2
– ppor. W. Nowaka – inspektora Wydziału III-2
– kpr. J. Czarnieckiego – funkcjonariusza Z[motoryzowanych] O[dwudów] M[ilicji] O[bywatelskiej].
Z rozkazem zapoznać funkcjonariuszy Komendy Stołecznej MO.

Komendant stołeczny Milicji Obywatelskiej w Warszawie
Gen. bryg. J[erzy] Ówiek

Rozesłano wg rozdz[iełnika] nr 249

1 W oryginale błędnie wpisano inicjał imienia: W.

2 Powyżej nieczytelny podpis.

karza (dialog: „a ja tam lubię ruskie... -?! – pierogi”). Naród wierzył w siebie. Wierzył całociświowo, nawet w ludzką twarz dygnitarzy z PZPR.

Nie brałem wtedy udziału w rewolucji. Jeszcze przyglądałem się światu, mając świadomość, że jestem świadkiem fenomenu świadomości zbiorowej. W jesiennym słońcu korowód spotkań, wszyscy ludzie byli bliscy. Nagle ktoś proponował publikację wierszy, o których w państwowym czasopiśmie powiedziano, że nie przejdą przez cenzurę, choć nie pisałem o sprawach politycznych albo interesowałem się moimi scenariuszami leżącymi gdzieś w kącie. Czasem jak groźny dźwięk basu pojedyncze teksty: „to długo nie potrwa”, „trzeba wyjechać jak najprędzej” znikające szybko w intensywności każdego dnia. Pierwsza coś takiego powiedziała jeszcze w lecie jedna narzeczona: „wyjeżdżam z tego kraju-nie chcę oglądać tych kolejek-chcę móc sobie kupić dobre kosmetyki”; i w tym momencie stała się dla mnie farsowa. Właśnie, narzeczona. Nazywane też inaczej, w gradacji słów od grubych do eterycznych, w zależności od stopnia zaangażowania uczuciowego i ogólnego wrażenia, jakie robiły. Było tego mnóstwo. Kolega Larry ulik teorię, że stesy związane z polityką i brakami zaopatrzenia odbierają męzczyzynom odbierają i stąd nasze powodzenie. Faktycznie prezentowaliśmy styl don Juan&Peer Gynt, prowadząc nieustanną akcję „Więcej” i urządzając popoldnocy. Nie będę tego wątku rozwijał, gdyż poświęciłem mu dedykowane Larremu szokujące opowiadanie pt. „Johny tu es en homme”. Wystarczy powiedzieć, że rozwijaliśmy się towarzysko na warszawskiej Starówce, a kibicując naszym poczynaniom koleżanka Błaszak mawiała:

– Wy chłopcy źle skończycie.

– My jesteśmy duo nie do zdarcia – odpowiadał dumnie Larry i wznosiłmy za siebie kolejny toast.

Zaczął się zima, oglądałem pacyfikację Szkoły Pożarnictwa. Przenikający wiatr i upór, żeby nic się nie zmieniło. 12 grudnia 1981, w sobotę też u Larrego na Starówce urządziliśmy, tzw. prywatkę. Tak się złożyło, że odniosłem wspaniałe sukcesy, czyli zorganizowałem dziesięć skrzynek piwa, w tamtych czasach, jeśli miało się pieniądze, załatwiał się (bo powiedział „kupowało” to za mało) dobre rzeczy (piwo, na przykład) i zapraszało towarzystwo na wspólną konsumpcję; szkoda, że zwyczaj ten obecnie jakby zanikał. W każdym razie wypijaliśmy piwo, przyszły dziewczyny i cytując klasyka męskiej (obecnie tu i ówdzie nazywanej szowi-

Podziemne Radio „Solidarność” na Lubelszczyźnie

Świdnika wojna z komuną

nistyczno-romantyczną) prozy „oddaly nam, co miały najcenniejszego”, po czym jakoś tak o świcie poszły. O siódmej rano kolega Larry udawał się do pracy w technice Opery Narodowej, która jak wiadomo działa i w święto. Uzgodniliśmy w krótkich, żołnierskich słowach, że ponieważ zostało siedem pełnych skrzynek, zajmę się wydzwonieniem następnych chętnych na prywatkę pań i poczekam na jego powrót. Zupełnie nieubrania wróciłem do łóżka, ale nie chciało mi się spać. Pięknie jest – myślałem – piwa mnóstwo jest, dziewczyny będą, będzie beautiful day.

Nad łóżkiem znajdowało się radio. Z radosnym „co by tu zrobić” włączyłem je. Jakiś głos skończył właśnie mówić i rozległy się marsze wojskowe. Skojarzyłem, że dają je w radio w niedzielę rano, lecz ich dęty styl nie pasował do mojego rozkosznego nastroju, wyłączyłem je i zasnąłem. Po obudzeniu włączyłem machinalnie, jakiś głos skończył właśnie mówić i rozbrzmiała ludowa muzyka. Ee, wyłączyłem i zasnąłem znowu. Obudziliem się, odruchowo włączyłem, głos jakiś właśnie skończył mówić, puszczone muzykę poważną. Nie chciałem jej słuchać, nie korespondowała z nastrojem, bo przecież this is beautiful day, pięknie jest, itd...

Z radosnej kontemplacji połączonej z zastanawianiem się, spać czy nie spać dalej, wyrwał mnie dzwonek do drzwi. Nie dbając o ubiór otworzyłem. Na progu stała koleżanka Błaszak w kozuszkach. Kontrast naszego nieubranioubrania rozśmieszał mnie, gdy wykrzyknęła:

- Joachim! Stan wojenny jest! Czołgi na ulicach! Żołnierzy pełno!

- Czy ty się Błaszaku blekotu objadł? – odparłem rozbawiony – jakie czołgi? Jacy żołnierze?

- Żołnierze! Służba zasadnicza. Milicja. Wszystkich legitymują. Aresztują ludzi.

- Ty naprawdę mogłabyś lepsze żarty wymyślać – powiedziałem niewzruszenie, choć zaczynałem czuć, że nie żartuje – Wcale nie zepsujesz mojego dobrego humoru. W ogóle to mamy piwo i zaraz zaproszę jakieś dziewczyny na prywatkę.

Podszedłem do telefonu. Nie było sygnału.

- Co do licha? Telefon się zepsuł?

- Telefony są wyłączone – zakomunikował Błaszak. A następnie jako, że jest obdarzony znakomitą pamięcią, zaczął mi streszczać dekret o wprowadzeniu stanu wojennego. Słuchałem zdziwiony, bardziej z niedowierzaniem niż z wkurwieniem na komunistów, na

Radio „Solidarność” działało w wyjątkowo głębokiej konspiracji. Dlatego nie dziwi, że tak mało wiemy dziś o jego strukturach i organizacji. Nie dziwi też, że w wolnej Ojczyźnie chcielibyśmy wreszcie odsłonić te białe plamy na mapie naszej historii najnowszej, odsłonić heroiczne działania garstki ludzi, którym tak wielu, tak wiele zawdzięcza.

Fenomenem stanu wojennego było, że wielu ludzi, na terenie całego kraju, obmyślało różne sposoby, by prowadzić walkę z generalskim reżimem. Z różnych form walki najwięcej chyba talentów wymagało stworzenie radia.

Mnie przypadło w udziale tworzenie sieci – „Radio Solidarność Lubelszczyzna”. Stanowiłem jednoosobowy zespół konstruktorско-techniczny dla całego regionu, dla dużej sieci radiowej, obejmującej 4 mocne przemysłowe ośrodki, czyli: „Radio Solidarność Świdnik”, „Radio Solidarność Ziemi Puławskiej”, „Radio Solidarność Lubartowskiej”, „Radio Solidarność Poniatowa”.

Było mi też jednak, pod innym względem, dużo łatwiej. Poznałem bowiem niesamowitych ludzi, z pozoru prostych – grupę robotników – którzy w konkretnych realiach walki, okazali się niezrównani. To o tej mojej grupie pisał z nieukrywaniem przerażeniem, ale przecież i z podziwem, w raporcie do MSW, ppłk SB Janusz Gębała:

„/- stanowi grupę zdecydowanych i zacietrzewionych przeciwników ustroju i naszego aparatu, która pomimo różnych represji z naszej strony nie zaprzestała swej działalności – a kierują nią osoby o wysokim poziomie intelektualnym i emocjonalnie zaangażowane w działalność „S”;

„/- nie posiadamy źródeł informacji tkwiących bezpośrednio w omawianej strukturze;

„/- w aktualnych uwarunkowaniach Świdnika działalność radia „S” stwarza istotne zagrożenie;

„/- Grupa organizatorów radiostacji jest mocno zakonspirowana, prowadzi kontrolę swojej działalności i stosuje szczególne kryteria doboru pojedynczych osób do swej działalności.†

„/- W toku prowadzenia sprawy zorganizowano ogółem 126 zasadzek i penetracji terenu angażując w te działania ponad 350 osób [Sygn. IPN Lu-020/847, tom VII karta 61-76, dnia 30-

12-1985]

Widząc, że mam do współpracy ludzi bezgranicznie oddanych sprawie, zdecydowałem się, po pierwszej udanej audycji, przekazać całkowicie w ich ręce wykonany przeze mnie sprzęt. Odtąd sami pisali teksty, nagrywali je, montowali muzykę, rozkładali sprzęt w terenie i emitowali stworzoną przez siebie audycję. Pozostawiłem sobie już „tylko” konserwację sprzętu i zdalną, dyskretną koordynację, z odległości o 12 km Lublina. To znacząco zwiększyło poziom bezpieczeństwa tego radia.

Specyfika fabrycznego miasta Świdnik polegała na tym, że całe, blisko

zawierają 2000 kart zapewnionych raportami wysokich oficerów bezpieczeństwa.

Opracowując strategię działania sieci, wymyśliłem sposób wstrojenia nadajników na kanał fonii lokalnej telewizji. Nadajnik tak ustawiony nie dawał się łatwo zlokalizować, nie można go też było zakłócić zagłuszaczką, a ponadto audycje były odbierane bez konieczności wcześniejszego ogłoszenia terminu emisji. Efekt akustyczny wejścia na kanał fonii był stuprocentowy i nie pozostawiał nawet cienia oryginalnego dźwięku. Zasięg w Świdniku wynosił kilka kilometrów, a w innych ośrodkach nawet znacznie więcej. Audycje mogły być dłuższe, treściwsze, żadna nie była nigdy zakłócona.

W sumie w Świdniku, poczynając od 29.04.1983, nadano 43 audycje. Radio pracowało przez 5 lat i 4 miesiące. Większość audycji nadano przy pomocy tego samego nadajnika. Chichot historii polegał na tym, że oto autentyczna „klasa robotnicza”, w najbardziej typowym robotniczym mieście, wybudowanym celowo jako przeciwwaga dla uniwersyteckiego Lublina, stała w zwartej masie przeciwko władzy, z nazwy tylko „robotniczej”.

W składzie zespołu „Radio Solidarność Świdnik”

działali przede wszystkim: Henryk Gontarz, Franciszek Zawada, Leszek Fijołek, Maria Mańko, Bogumiła Górka, Alfred Bondos, „Jagoda”, Bolesław i Waldemar Karczmarczyk, Andrzej Niewczas, Mirosław Sola. To im głównie bohaterski Świdnik zawdzięcza niezależne radio i trwające latami poczucie zwycięstwa.

Ja pracowałem dla Świdnika, ale i dla całej sieci regionalnej. Ze Świdnikiem jednak byłem związany najściślej. Tu testowałem każdy nowy sprzęt i tu wdrażałem swoje pomysły. Dużo pracy włożyła w to radio moja żona, Barbara Haczewska.

Drugim, bardzo skutecznym ośrodkiem Radia Solidarność na Lubelszczyźnie były Puławy – zasłonięte przez Wyżynę Lubelską od obu nadajników lubelskiej telewizji, odbierały z koniec-

DZIESIĄTY ROK NIEZALEŻNEGO RUCHU WYDAWNICZEGO



czterdziestotysięczne miasto, znało się przynajmniej z widzenia, chodziło codziennie do tej samej pracy, zaś w niedzielę do jednego kościoła. A od tej pory, miało własne radio. Całe miasto żyło od audycji do audycji.

Spoleczność Świdnika podporządkowywała się z zapałem wszystkim apelom ogłoszonym przez radio, bo to było ich własne radio. Gdy radio apelowało o pozostanie w domach, ulice wydłubniały się, gdy zapowiadało demonstracje, tylko nieliczni pozostawali w domu.

SB z przerażeniem obserwowała to zjawisko. Właśnie dlatego skierowano tam liczne, wyspecjalizowane kadry z Radiokontrwywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Opis rozpaczy wręcz walki SB z lubelską siecią radiową zachował się w IPN. Opaste to-

ności sygnał TV z odległego o 95 km nadajnika kieleckiego, umieszczonego na górze Święty Krzyż. Sygnał pierwszego programu docierał tu bardzo osłabiony, a nadawany był ponadto na dostępnym dla mnie kanale 3. Państwowa telewizja była więc na tym terenie całkowicie bezbronna. 62-watowy nadajnik foniczny zapewnił tam zasięg w promieniu ponad 20 km.

Zespół puławski także był nieliczny. W jego skład wchodził przede wszystkim: Grzegorz Wolczyk, Zenon Benicki – szef zespołu „Radio Solidarność Ziemi Puławskiej”, Anna i Zbigniew Zubowscy, Waclaw Hennel, Jan Okoń, Alicja i Tadeusz Skiba, Elżbieta Leszczyńska.

To już nie była ekipa robotnicza, w jej skład wchodziła kadra inżynierska Puławskich Azotów.

Sukces zespołu puławskiego był tym większy, że dysponował on tylko jednym nadajnikiem, a nadał ponad 30 audycji. Członkowie zespołu nigdy nie wpadli. Ponadto jeździli na „występy gościnne” do innych miejscowości. Ostatnią audycję ośrodek w Puławach nadał już w chwili zwycięstwa, podczas wygranych wyborów do parlamentu.

Poniatowa i Lubartów też nadawały własne audycje w ramach sieci. Nie dysponowały jednak własnym sprzętem, bo nie mogłem im go zapewnić z braku środków.

W tej sytuacji Poniatowa wypożyczała sprzęt z Puław, a Lubartów ze Świdnika. Koledzy świetnie radzili sobie organizacyjnie, a chęć nadawania własnych audycji na swoim terenie rekompensowała stres, związany z olbrzymim ryzykiem przemieszczania sprzętu nadawczego na tak duże odległości. Przy tym służby specjalne komunistycznego reżimu były dezorientowane, gdy w niewielkim odstępie czasu ten sam nadajnik pracował z różnych zupełnie lokalizacji.

Oczywiście praca ta była precyzyjnie planowana, bo ośrodki lokalne nadawać musiały na różnych (parami) częstotliwościach. Były przecież w zasięgu różnych nadajników telewizyjnych, pracujących na różnych kanałach a każde przestrojenie mogło się odbywać wyłącznie w moim tajnym, domowym laboratorium.

Pomimo tych trudności, cała ta rozległa sieć radiowa przez wiele lat pracowała zadziwiająco sprawnie.

Ireneusz Haczewski

Garść ciekawych epizodów, z czasów pracy „Radia Solidarność”, znajdziecie Państwo na stronie internetowej: <http://ireneusz.haczewski.pl>. Znajdują się tam również archiwalne audycje tego radia.

Z broszury Ireneusza Haczewskiego „Wstęp do historii podziemnego Radia „Solidarność” na Lubelszczyźnie. Fenomen skutecznej konspiracji i działania, w warunkach środowiska typowo robotniczego. Radio podziemna a żywienie form społecznego protestu.”

Skróty i zmiany – red. „Bibuły”.

Radio „Solidarność” Siedlce

Smutni chłopcy na dachach

Pomysłodawcą zorganizowania w Siedlcach Radia „Solidarność” był Cezary Kazimierzczak. Pomysł wprowadził w życie Tomasz Olko (obaj byli założycielami Siedleckiego Komitetu Oporu Społecznego, w ramach którego miało działać Radio „S”).

W skład zespołu Radia „S” Siedlce wchodził:



Tomasz Olko – szef Radia „S” Siedlce, zajmował się nagrywaniem audycji, kontaktami z innymi podziemnymi strukturami i koordynowaniem całej działalności radia; **Jerzy Gajowniczek** – konstruktor i wykonawca nadajnika, zajmował się również sprawami technicznymi oraz nadawaniem; **Maria i Stanisław Wołowicz** – montaż i nadawanie audycji, prowadzenie archiwum, wyszukiwanie lokali do nadawania; **Adam Patoleta** – nadawanie audycji, wyszukiwanie mieszkań do nadawania.

Wymieniony zespół tworzył Radio „S” Siedlce aż do zakończenia jego działalności, tj. do czerwca 1989 r.

Z radiem współpracowali m.in.: Magda Drewniak, Iwona Marchelska, Barbara Mróz, Ewa Sierpińska (lektorzy, wszyscy z Warszawy), Stanisław Sobiech, śp. Krzysztof Kozak, śp. Irena Chilik, Jan Charczuk, Teresa Orzechowska, Marek Olszewski (osoby używające mieszkań do nadawania audycji, wszyscy z Siedlec), i wielu innych.

Pierwsze audycje siedleckiego radia zostały nadane w 1984 r. (14 czerwca na UKF, a 16 czerwca na fonii I Programu TVP). Do końca 1987 r. nadawano na fonii I programu TV, a od lutego 1988 r. na falach UKF zbliżonych do III Programu Polskiego Radia. Powstało 46 audycji. Każda była emitowana średnio 2-3 razy. W lutym 1985 r. siedleckie radio, dzięki pomocy Zofii i Zbigniewa Romaszewskich, nawiązało ścisłą współpracę z radiem warszawskim. Audycje Radia „S” Siedlce były retransmitowane dla Polonii na Antypodach i przez RWE.

Sama metoda nadawania była bardzo prosta. Do emisji audycji potrzebne było mieszkanie z indywidualną anteną TV (trzydipolową). Osoba nadająca podpiniała nadajnik do końcówki anteny, włączała sprzężony z nim magnetofon i audycja szła w świat. Nadając audycje, przeważnie zakłócano odbiór programów o wysokiej oglądalności, takich jak: wiadomości sportowe, atrakcyjne filmy itp. Tradycją siedleckiego radia było nadawanie specjalnych audycji świąteczno-noworocznych w czasie, gdy przemówienie noworoczne wygłaszali przedstawiciele najwyższych władz państwowych.

SB usilnie próbowało namierzyć nadających i redakcję siedleckiego radia. W 1984 r. w jednym z podziemnych pism ukazał się wywiad z zespołem Radia „S” Siedlce. Specjalnie podano dezinformację: największą trudnością, na jaką napotykał nadający audycje, jest znalezienie odpowiednio wysokiego budynku i dostanie się na jego dach. W rzeczywistości Radio „S” Siedlce nigdy nie nadawało z dachów. „Smutni chłopcy” ruszyli na miasto sprawdzać dachy bloków, zmuszając przy okazji administrację budynków do wymiany zamknięć włączników. Od tego momentu po każdej audycji SB sprawdzało dachy wysokich budynków. Członkowie zespołu siedleckiego radia pomagali zorganizować Radio „S” w Białej Podlaskiej.

Obecnie zespół przygotowuje do wydania książkę „Historia Radia „S” Siedlce 1984-89”.

Tomasz Olko

W „Bibule” z czerwca 2006 r. błędnie podaliśmy nazwisko pomysłodawcy i organizatora Radia „Solidarność” Siedlce, nie w pełni zgadzał się również skład zespołu przygotowującego audycje, za co przepraszamy. (red.)

to wszedł kolega Larry. Operę też zamknęli i wszystko stało się jasne.

Siedzieliśmy we trójkę patrząc w telewizor. Umundurowani spikerzy, Raclawicki i Stefanowicz, odczytywali w kółko przepisy stanu wojennego. Pod stołem mieli butelkę wódki, gdy jeden czytał, drugi schylał się i ćwiczył podstosłową. W pewnym momencie Raclawickiemu krzywo poszło i na wizji walczył z pawiem („puść pan pawia” – krzykliwaliśmy, a może nawet odśpiewaliśmy tę kabaretową piosenkę: „puść pan pawia-po co męczyć go i dusić-paw się męczy, pan się męczy-puść pan pawia puść”). Wspólnik, tj. Stefanowicz na próżno podtykał mu fragment do przeczytania, w końcu musiał odczytać go sam. Na deser był nie-toperzowy Jaruzelski. „Bredzi” – skomentowaliśmy krótko.

Teraz łatwo napisać, że ci faceci kałali mundur żołnierza polskiego. Wtedy tego nie czuliśmy. Odbyliśmy ich popisy jako abstrakcyjne przedstawienie. Już w latach 70. nie wierzone – a władze PZPR w tej niewierze przodowały – iż „socjalizmu trzeba bronić jak niepodległości”. Jednocześnie nikt, z „Solidarnością” włącznie, nie zakładał zmiany ustroju z wiadomych, sowieckich powodów. Chodziło o negocjowanie zmian dobrych dla naszego społeczeństwa. Tymczasem wredne komuchy straszą, więc skoro tak, to ani nam w głowie bać się.

Wieczorem poszliśmy na niewielki spacer. Osławione kokosowniki i pojazdy opancerzone sprawiały księżycowe wrażenie. Na Rynku zwiędzieli specjalnie okoliczni menele odśnieżali pod czujnym okiem wojskowej władzy. Wtem jedna menelica, która najwyraźniej nie zdążyła od wczoraj wytrzeźwić dała perorę:

– Co to, śniegu n a z r u c a l i i. Ja mam to zbierać? Dlaczego ja mam to zbierać? Ja tego śniegu n a z r u c a l a m? Trzymaj chłopiec – wręczyła szuflę oniemiałemu żołnierzowi i poszła.

Msza w katedrze i kazanie Glempa; nieprzyjemnie łagodne, chyba można było odwołać się na przykład do Jana Pawła II i „ducha tej ziemi”. Tuż przed godziną policyjną byliśmy świadkami klasycznej rozmowy, powtarzanej potem z ust do ust, ku pokrzepieniu serc. Żołnierz zapytał grzecznie staruszkę:

- Przepraszam panią, dokąd pani idzie?

- A czy to ważne?

- Proszę pani, mamy wprowadzony stan wojenny. Nie słyszała pani?

- Jaki stan?

- Stan wojenny. Obowiązuje godzina milicyjna. Zaczyna się za pięć minut.

- Dziecko - powiedziała nagle zupełnie przytomnie. - Ja wiele wojen przeżyłam. Niemców przeżyłam i Ruskich jak tu weszli, to i tę waszą wojnę przeżyję.

Nasza dezynwoltura wobec oficjalnych komunikatów nie znaczyła, że ich uważnie nie słuchaliśmy. Kolegę Larrego ogarniał niepokój o czepekczki z nadrukiem „Solidarność”, które wyprodukował (taka chałtura dla Regionu) i los ich był aktualnie nieznan; trzeba by jechać do punktu składowania, a wydawało się to ryzykowne. Mnie doskwierał przepis, iż osoby przewożące większą ilość alkoholu zostaną uznane za spekulantów; żadną miarą nie wytłumaczę patrolowi, że wożę skrzynki swojego, prywatnego piwa. Usiedliśmy u Larrego z nie wyrażoną może wprost chęcią przeczekania, zobaczenia, co będzie się działo. Przez następną parę dni niszczyliśmy kompromitujący napój chmielowy grając bez przerwy w sześć kości na diagram przy słodkiej muzyce typu the Carpenters. To nie była chęć ucieczki, a tylko konieczność oswojenia się z czymś jednak groźnym. Z telewizji orientowaliśmy się w sytuacji, wpadali jacyś ludzie, ale gdy tylko zaczynali panikować, nie dawaliśmy dojść im do słowa, „a idź z tym swoim defetyzmem, my tu gramy w kości, nie przeszkadzaj”. I tak udawaliśmy wbrew faktom, tak bardzo nie chcieliśmy dać się społecznie podzielić.

W końcu trzeba było jednak wyjść. Poszedłem na uniwersytet, gdzie dowiedziałem się od razu, że paru moich znajomych - a za niektórych z nich nie dałbym pięciu groszy - siedzi już z wyrokami za wieszanie ulotek. Dziekan podpisywał wszystkim jak leci urlopy.

- Chcesz Joachim? - zapytała pani Tania, kierowniczką dziekanatu. Nie chciałem, zajęcia i tak zawieszono podobnie jak przyszłość.

Prostym antidotum na opresyjną sytuację stało się kultywowanie wiewiór rodzinnych i przyjacielskich. Ponieważ telefony nie działały, popołudnia i wieczory przeznaczałem na składanie wizyt przedgwiazdkowych. Gdzieś niedługo pojawiły się już pierwsze alkohole domowej produkcji, bardzo średnie zresztą, wymienialiśmy się prezentami i jakoś tak nie rozmawialiśmy o tym, co się dzieje. Z wizyt tych wracałem o normalnych wieczorowych porach niezbyt przejmując się godziną, tfu, milicyjną. Widok absolutnie pustych tramwajów i podróżowanie nimi był także księżycowy. Trwało tak dni parę, aż jednego wieczoru, gdy tylko wyrząłem z bramy domu pewnych znajomych, którzy tuż po 1989r. wyfasowali dobrze płatne

Rado „Solidarność” Toruń

Astronomowie kontra Borewicz

WToruniu jest obserwatorium astronomiczne, w którym uprawia się radioastronomię. To taka nauka, która zajmuje się obserwacjami odległych galaktyk i innych źródeł, które emitują fale radiowe. Radioastronomia uczy więc jak budować niezwykle czułe urządzenia, żeby to radiowe światło wysuwać z szumów i uczy jak efektywnie wykorzystywać własności fal radiowych.

Te umiejętności okazały się bardzo przydatne radioastronomom Zygmuntowi Turło, Eugeniuszowi Pazderskiemu i mnie w konstrukcji i wykorzystaniu nadajników dla podziemnego Radia „Solidarność”.

Toruń jest małym miastem. I trzeba było stosować pomysły techniki by nie dać się złapać. Dwaj fizycy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika - Andrzej Jeśmanowicz i Jerzy Wiczorek wpadli na pomysł balonowego radia, tzn. nadawania audycji Radia „S” z nadajnika unoszonego przez balony. Konstruktorami byli radioastronom Zygmunt Turło i Jerzy Wiczorek, a organizatorem i nadawcą mówiący te słowa. Na sali jest jeden z nadawców, Bernard Witkowski.

Pierwszą audycję nadaliśmy w listopadzie 1982r. Na łączce pod lasem w okolicach Torunia nadmuchiśmy 6 balonów dla dzieci. 15 minut po starcie włączył się nad miastem nadajnik i rozpoczęła się audycja. Rozpoczęła się melodyjką „Siekiera motyka”. Malutki nadajniczek miał z balonu rewelacyjny zasięg. Dostawialiśmy raporty o dobrym odbiorze nie tylko w Toruniu, ale także w sąsiednich miastach, Grudziądzu, Golubiu-Dobrzyniu, Inowrocławiu i Bydgoszczy.

Terminy audycji były zapowiadane w podziemnej prasie i w ulotkach, więc też i służby bezpieczeństwa były zmobilizowane. Stały się blokady przy wjeździe do miasta, ale udawało się szczęśliwie powrócić, bo cały trefny sprzęt był w powietrzu. Podczas jednej z blokad nas przepuszczono, a zatrzymano aktywistów ZSMP, którzy wieźli części do telewizora.

Mieliśmy też gościnny występ na Śląsku w roku 1984. Sprzęt i nadawcy byli z Torunia, a taśma z audycją - tamtejszej „Solidarność”.

Niestety balony pękały po przełocie kilkuset kilometrów i spadały na

ziemię. Jeden został znaleziony gdzieś pod Katowicami, a drugi na Białorusi. Dopóki wykorzystanie balonów nie było znane esbekom metoda była bezpieczna dla nadawców. Trzeba było jednak z niej zrezygnować, bo to mogło skończyć się wpadką.

Ale w 1984r. była już gotowa następna ekipa nadawców pod wodzą Stanisława Śmigła. Rozpoczęła ona nadawanie audycji na fonii telewizji, zgodnie z hasłem „wizja wasza - fonia nasza”. Audycje te miały tę zaletę, że nie trzeba było ich zapowiadac. Działanie z zaskoczenia utrudniało służbom lokalizację nadajnika. Niestety Staszek Śmigiel wpadł któregoś dnia wraz ze sprzętem w łapy SB. Był listopad 1984. Odbył się proces, Śmigiel dostał rok w zawieszeniu.

W 1985r. miały się odbyć wybory do sejmu PRL. Jedynym sposobem okazania dezaprobaty dla ówczesnego

nasze hasła antywyborcze na tle filmu „07 zgłoś się” z porucznikiem Borewiczem rozwiązującym skomplikowane zagadki kryminalne. Niestety koledzy Borewicza mieli już na nas namiar. Po nadaniu programu usłyszeliśmy mocne uderzenia w drzwi. Zabrakło nam 20 sekund by się ewakuować. Zostaliśmy aresztowani: astronomowie Zygmunt Turło, Leszek Zaleski i ja oraz technik Piotr Łukaszewski. Po 4 miesiącach odbył się proces i zostaliśmy skazani na 1,5 roku z zawieszeniem, za wzywanie do niepokoju.

Metoda synchronizacji była tak atrakcyjna, że koledzy z Wydziału Fizyki Uniwersytetu Gdańskiego pod kierunkiem Piotra Kwieka wyszli z propozycją produkcji całej serii takich nadajników. Jednak w dniu, w którym miały się odbyć testy, SB zrobiło nalot na wydział i zarekwirowało sprzęt nadawczy, a elektronika Zenona Gannusa zatrzymało na 48 godz. Z tego powodu trzeba było zrezygnować z kontynuacji tego projektu. Była już jesień 1987r.

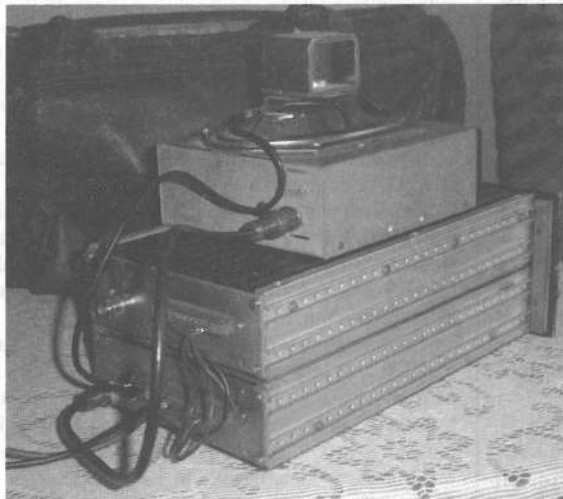
W latach 1988-89 reżim nieco zelżał. Zaczęły się pojawiać jawne struktury związkowe, odbywały się strajki robotnicze i studenckie. I znowu w Toruniu odezwano się radio. Tym razem to student astronomii Rafał Maszkowski zorganizował sam podczas strajku własne niezależne radio. Zbudował nadajnik, przetestował go i nadawał audycje dla strajkujących studentów, w centrum miasta i na terenie obiektów uniwersyteckich.

Tuż przed wyborami do sejmu kontraktowego w czerwcu 1989r. nadawane były prawie jawnie audycje Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” z nadajnika otrzymanego od Zbigniewa Romaszewskiego.

I na koniec trzeba wymienić inicjatywę Jerzego Wiczorka, tego samego, który uczestniczył w konstrukcji radia balonowego. Poszedł on do dowódcy bazy Armii Radzieckiej w Toruniu z propozycją nadawania audycji KO „S”. Propozycja została przyjęta i każda audycja była zakrapiana suto wódką. Doczekaliśmy więc czasów, że audycje Radia „S” nadawano z nadajnika bazy radzieckiej.

Jan Hanasz

Tekst wygłoszony 14 kwietnia 2007 r. na konferencji „XXV-lecie podziemnego Radia „Solidarność”. Skróty - red. „Bibuła”.



go reżimu był ich bojkot. Zaplanowaliśmy wejście na telewizję z planszami zawierającymi hasła bojkotu wyborów. Turło i Pazderski wpadli na znakomity pomysł wykorzystania ramki obrazu telewizyjnego do zsynchronizowania naszego obrazu z obrazem telewizji państwowej. Nie wdając się w szczegóły, podobną metodę synchronizacji sygnałów wykorzystywaliśmy już wcześniej w radioastronomii. Nasze plansze nie wypierały obrazu telewizyjnego, tylko ukazywały się na jego tle. Zasięg był znakomity.

13 września 1985r. na ekranach telewizorów w centrum Torunia w czasie dziennej telewizyjnej ukazał się napis: „Solidarność Toruń - Dość podwyżek cen kłamstw i represji”. Trwał 2 minuty. Po czym pojawił się następny: „Solidarność Toruń - Bojkot wyborów naszym obowiązkiem”.

26 września powtórzyliśmy program na wielkim osiedlu Rubinkowo w Toruniu. Tym razem nadawaliśmy

Radio Solidarności Walczącej



Był 31 sierpnia 1982 r. W tym czasie byłem szefem Radia Solidarności Walcząca.

Studia nagrań przносиły się wraz ze mną. Obecnie mieściło się w willi na Biskupinie. Tam właśnie zgromadziłem 2 magnetofony szpulowe, ze 2 kasetowe, mikrofony, taśmy, „pipkacz” – urządzenie do emitowania króciutkich przerywników pomiędzy newsami. Zbudował je Staszek Mittek („Gad”), który skonstruował też nadajniki, opiekował się sprzętem od strony technicznej i którego grany na gitarze sygnał wywoławczy stacji rozpoczynał każdą audycję.

Pisałem teksty z podziałem na głosy poszczególnych spikerów (rewelacyjni: Krysia Wójcik-Jagoszewska i Zbyszek Wołek), po czym w umówionym dniu spotykaliśmy się w studiu, gdzie nagrywaliśmy taśmy robocze. Potem montowałem taśmę-matkę. Pracę kończyło wykonanie tyłu kopii na kasetach, ile było przewidzianych nadajników do jednorazowej emisji – zwykle 5–6, ale czasem więcej, zwłaszcza gdy były przewidziane audycje poza Wrocławiem (np. nadawaliśmy w Jeleniej Górze!).

Przygotowania do manifestacji 31 sierpnia były „ekumeniczne”. Parę tygodni wcześniej odbyło się, bodaj na Oporowie, duże zebranie działaczy średniego szczebla SW i RKS, mających uzgodnić przygotowania.

Program zakładał, że godzinę przed manifestacją nadamy specjalną audycję na częstotliwości milicyjnej, zawierającą apel do milicjantów tłumaczący przyczyny wyjścia na ulice i wzywający do nieużywania przemocy. Jakkolwiek nie wierzyliśmy w skuteczność tego apelu, zawsze warto psychicznie nieco zmiekczyć przeciwnika. W audycji zapowiadaliśmy też, że za chwilę uruchomimy na pasmach milicyjnych zgłuszarki w wielu punktach miasta. Potem miała iść nagrana wcześniej specjalna audycja dla zwykłych słuchaczy i zapowiedź nadawania w nieokreślonym czasie krótkich komunikatów na żywo. Program był niezwykle ambitny, tym bardziej że wyjątkowo udało nam się zebrać kilka par radiotelefonów, z których „połowy” dostali w przeddzień demonstracji nasi korespondenci. Ich odpowiedzi dostała centrala (umieszczona w samym centrum Wrocławia w mieszkaniu pod Arkadami), w której byli: Kornel Morawiecki, Paweł Fa-

Przygoda w eterze

licki, parę innych osób. Jeszcze inna para radiotelefonów służyć miała do porozumiewania się centrali ze mną. A na łączniczkę między nami została wyznaczona moja żona, Helena.

Wymyśliłem, że audycja specjalna zacznie się od hymnu. Ale gdzie zdobyć nagranie? Przypomniałem sobie, że w domu rodziców jest płyta z Hymnem. Dokonałem więc nagrania. Nagrałem też ojca, który po opuszczeniu więzienia w Nysie na świeżo miał w pamięci pieśni internowanych. Ojciec ma bardzo ładny głos, ale nie chciałem go narażać, więc poprzez dość prymitywne triki z wielokrotnym nagraniem na różnych ścieżkach i lekkim przesunięciem w czasie zrobiłem cały chór męski – wyszło to całkiem zgrabnie.

Zazwyczaj audycje nadawane były z kilku automatycznie uruchamianych nadajników jednocześnie, tym razem miała być emisja na żywo z jednego, może nieco silniejszego nadajnika, a w dodatku to ja miałem go obsługiwać. Pracując w radiu, siłą rzeczy nasłuchiwałem się o pelengatorach, namierzaniu, specjalnej ekipie do szukania naszego radia itd. Nie byłem więc zachwycony sytuacją, ale co: miałem narażać kogo innego, a samemu się bezpiecznie schować?

W ustalonym miejscu odebraliśmy nadajnik, zasilacz, kable, antenę i takśówką pojechaliśmy w okolice ul. Studziennej, tam załatwiono nam na najwyższym piętrze mieszkanie do nadawania audycji. Po drodze zabraliśmy jeszcze Krysię.

Rozładowaliśmy sprzęt, antenę rozpięliśmy na firance. O umówionej godzinie puściłem w eter pierwszą audycję, tę dla milicjantów. Musiałem być punktualny, bo za chwilę miały ruszyć nasze zgłuszarki. Były one umieszczone w... mydelniczkach. Zasilane z baterijek 9-voltowych siały szumem w eterze aż miło! Były umieszczone w różnych miejscach – na dachu kiosku, na drzewie, na parapecie okna; w punktach miasta uznanych z góry za strategiczne. Ich działanie nie było zbyt szerokie – jaką siłę może mieć nadajniczek mieszczący się w mydelniczce i zasilany małą baterijką! Ale niektóre działały jeszcze następnego dnia. Ach, jaka to była satysfakcja: po dziesiątkach lat zgłuszania przez komunistów „Wolnej Europy”, BBC i innych rozgłośni, po próbach zgłuszania naszych audycji, tym razem to my zgłuszaliśmy ich!

Wkrótce zaczęły napływać meldunki od korespondentów. Centrala

robiła ich selekcję, po czym przekazywała do mnie. Szybko tworzyłem z tego komunikaty, które odczytywała Krysia. Mówiliśmy, co się dzieje na konkretnych ulicach, gdzie gromadzą się demonstranci, jakie skandują hasła. Pamiętam dokładnie jedną z przekazywanych informacji: „Ulicą Kółtąta przejechał przed chwilą tramwaj z dużym napisem Solidarność”.

Podczas nadawania kolejnej z audycji usłyszeliśmy nad nami narastający hałas. Gdy wyrzeliśmy przez okno, zobaczyliśmy helikopter robiący koła nad naszym domem. Nie wytrzymałem, czy jest wyposażony w pelengator (jeden taki „dyżurny” był stale gotowy do akcji przeciwko naszemu radiu). Sytuacja jednak zrobiła się niebezpieczna.

Przez radiotelefon przekazałem centrali, że przerywam nadawanie, bo „oberwała się gałka”. Miałem nadzieję, że z tego szyfru ad hoc zrozumieją, iż mam jakieś nieoczekiwane kłopoty, bo żadnej gałki przy nadajniku nie było. Niestety, w odpowiedzi usłyszałem Pawła Falickiego: „Tam przecież nie ma żadnej gałki!”.

W tej sytuacji wysłałem do centrali żonę. Ja z Krysią szybko zacząłem pakować sprzęt.

Ku naszemu zaskoczeniu helikopter w końcu odleciał, a w pobliżu nie pojawił się nawet patrol. Wyjaśnienie musiało być jedno: sytuacja na ulicach zaangażowała ich całe siły, a i helikopter bardziej był potrzebny do obserwacji tysięcy walczących, niż do łapania kilku osób z nadajnikami.

Po tych „frontowych” audycjach zrobiłem bodaj jeszcze jedną zwyczajną i... trzeba było przerwać działalność. Idąc któregoś dnia do studia, wytrzymałem obstawę stojącą pod willą. Cofnąłem się i wyłapałem spikerów. Ludzie się uratowali, ale w studiu został sprzęt, taśmy... Przekazałem szybko informację do Kornela. Po paru tygodniach audycje RSW zaczął robić Krzysztof Tenerowicz. Obstawa przed willą stała jeszcze ponad miesiąc. Tyle że pilnowała pustych pomieszczeń: którejs nocy, przez ogródki, od tyłu, weszli nasi ludzie i wynieśli wszystkie pozostawione rzeczy.

Na stronie www.sw.org.pl zamieszczonych jest 11 pierwszych audycji, które robiliśmy. Nie ma, niestety, najważniejszych, nadawanych „na żywo”.

Romuald Lazarowicz
Przedruk z broszury „Tu Radio Solidarności Walczącej...” Wrocław – Warszawa 14.04.2007.

Skróty i zmiany – red. „Bibuły”.

rządowe posady, na chodnik wjechał duży fiat, wypadło zeń paru drabów i znalazłem się w areszcie na ulicy Żytniej.

W życiu nie widziałem tak zadowolonych ze swej pracy ludzi jak ci baryłkowaci policmajstrzy z małego posterunku. Sprowadzali i zamykali kogo się dało: hotelowe prostytutki, menele z notosu dzielnicowego i trochę przypadkowych osób. Właśnie u tych zachwyconych swoją ważnością typków nastąpiła pierwsza konfrontacja z niechcianą władzą.

- Wyjmij wszystko z kieszeni – usłyszałem. Trzeba tu wiedzieć, że byłem ubrany w swój niezniszczalny gruby płaszcz z czarnej skóry, z wyglądu esbecko-faszystowski. Zaletą tego okrycia były przepastne kieszenie, w których mieściła się skrzynka piwa (znowu to piwo). Tym razem miałem w nich różne prezenty i zakupy typu chleb i dezodorant. Wyciągałem je po kolei, nieco powoli, bo w ogóle wyciągało się z tych kieszeni trudno, gdy poczułem jak błysk, że zaraz dostanę od tyłu w łeb. Odwróciłem się szybko, podniesiona ręka z pałą zniechęcała.

- Pan jest funkcjonariuszem ludowego państwa i powinien pan zachowywać się z godnością – powiedziałem. Milicjant zdębiał, po czym zrezygnował mamrocząc „jaki mądry”. Rano kolegium ds. wykroczeń skazało mnie na karę 2000zł. za nieprzestrzeżenie wiadomego dekretu. Towarzystwo starsówek złożyło się po parę groszy i nie dowiedziałem się nawet, kiedy to zapłacono.

Chyba czas już zacząć zmierzzać do końca. Jedni walczyli i ginęli, drudzy starali się, aby nie dać się zwiariować. Jeżeli nie zabija się strzelając, można zabić śmiechem, a przynajmniej nie dać się zabić strachem. Stan wojenny utrwalił się na dobre i choć my pozostaliśmy tacy sami, czyli normalni, każde następne zetknięcie stawało się pierwszym A jednak już trzeciego maja roku następnego lataliśmy z kolegą Larrym po dachach na Świętojańskiej i nasuwaliśmy zomowców z góry cegłówkami. Ach, co za przygody. Musiano nas jednakowoż przyuważać, bo wkrótce nachalnie zainteresowała się nami Rejonowa Komenda Uzupełnień. Ja sobie poradziłem, bo byłem na studiach (i dobrze, że nie chciałem tej dziekanki; zresztą historia nieodwzajemnionych uczuć RKU do mojej osoby to temat na inne opowiadanie), ale Larrego przyskrzynili. Na próżno pił bez przerwy, a nawet wstrzykiwał sobie narkotyki. Pojechał daleko, aż do Szczecina. Nie załamał się jednak i twardo odgrywał alkoholowego wariata. Na przykład, smarował sobie

dziąsła terpentyną z wojskowej stolarni i – rzekomo w delirycznym szale – gonit z siekierą sierżanta po placu apelowym. Przenieśli go za to do karnej kompanii do Orzysza, gdzie robił podobne rzeczy, zaliczając kolejne areszty, aż wreszcie armii się znudziło i wypuściła go, w czym niebagatelną rolę odegrało załatwienie wału korbowego do trabanta jednego majora; cała Starówka załatwiała.

My z koleżanką Blaszką coś zrazu przenosiliśmy (te numery z dziewczyną w ciąży, gdy zatrzymywał patrol, każdy pamięta), potem rozrzucał się i tak krok po kroku trafiliśmy do zorganizowanego podziemia. Było bosko, aż do dnia, gdy o świcie z drzwiami wszedł porucznik Lewkowicz z ekipą i w tempie ekspresowym otrzymałem wyrok. Też pierwszy raz; nawiasem mówiąc, nikt nie chce mi oficjalnie powiedzieć, dlaczego ci panowie zaszczęśli mnie odwiedzinami. Potem przyszła wolność, koleżanka Blaszką wydała się za kolegę Larrego, a ja nie zostałem ministrem, bo właściwie za bardzo mi nie zależało. Zawsze pamiętam takie letnie popołudnie, gdy zawrócony z wakacji, drukowałem przez trzy dni nakład, po jego odjeździe wyszliśmy na miasto i idąc w słońcu metafizycznie czułem, że jestem u siebie, robię to, co powinienem, że tutaj jest moje miejsce.

Dziś, kiedy siedzimy z koleżanką Blaszką nad szklankami soku, w którym jest dużo procentów i młodość nam umiera, przypominam sobie czasem jak na wiosnę 80 roku, zanim jeszcze wszystko się zaczęło, zaprosiła mnie na irlandzką rozmowę i powiedziała: A Joachim, wyjedź stąd – ty się tu dusisz”. To, czego w życiu nie zrobiłem i nie wiadomo, czy zrobić, minione szanse.

Mówię:

- Cholera, Blaszkaku, jakbyśmy wyjechali, bylibyśmy dziś profesorami Stanford, czy czegoś w tym rodzaju.

Ona nie podziela moich projekcji, twierdzi, że zachowaliśmy się jak uczciwi ludzie, wcale ich tak wielu nie było, a przyjaciółom, którzy przenieśli się za wielką wodę nie ma co zazdrościć. Rzeczywiście, nie ma co, lecz kiedy ujrzałem starszego faceta, z którym siedziałem w pierdłu, aktywnego w opozycji od 68r. jak wśród obszczyjmurków stał w kolejce po darmową zupę, zabolalo. Więc powiadamy sobie:

- Ale przynajmniej walczyliśmy.

I to jest tak samo dobre zakończenie jak „i ja tam byłem, miód i wino piłem”.

Krzysztof Biernacki

Oryginalny Videojournal w Czechosłowacji

Próba samizdatowej telewizji

Druga połowa lat 80. była szczytowym punktem świadomych przejawów kultury „drugiego obiegu”. W miarę jak przybywało tych działań, rosło zapotrzebowanie na niezależną publicystykę na wysokim poziomie, która informowałaby o alternatywnej działalności kulturalnej i zapełniała luki oficjalnej medialnej blokady. Nie przypadkiem zerowy numer najważniejszego czasopisma „Lidove Noviny” i Oryginalni Videojournal pojawiły się w roku 1987.

Postęp techniczny upowszechnił xerokopiarki, komputery i video, ale do Czechosłowacji te cuda przenikały w bardzo ograniczonym stopniu. Było jednak tylko kwestią czasu kiedy, oprócz samizdatu drukowanego, powstanie także jego forma audiowizualna, która spróbuje być godną alternatywą dla informacyjnej farsy ówczesnej telewizji – czyli „Telewizyjnych wiadomości”.

Z korespondencji pomiędzy Vilemem Preczanem (późniejszym założycielem Czechosłowackiego Ośrodka Dokumentacji Literatury Niezależnej, działającego w Niemczech w Hanowerze, potem w Szwarcenbergu) Frantiszkiem Janouchem (fizyk, emigrant z 1973), a Vaclavem Havlem (w Czechach) wynika, że w latach 1983-84 zaczyna się rozkręcać „videoprojekt”. Janouch posyła do Czechosłowacji legalnie zakupione w Tuzexie (odpowiednik polskiego Pewexu) magnetowidy i telewizory, aby utworzyć sieć domowych video. Poprzez różne kanały docierają także przesyłki z zakazaną literaturą, muzyką czy kasety video z niedostępnymi filmami. Tymi samymi kanałami w przeciwnym kierunku jadą rękopisy, fotografie, filmy czy inne dokumenty, interesujące zachodnie środki przekazu, a za honoraria finansuje się dalszy postęp techniczny. Fundacja Karty 77 uzyskuje również dotacje poprzez granty europejskich fundacji kulturalnych, pomagają wybitne postaci czeskiej emigracji – państwo Tigridowie, Jirzi Pelikan, Tomasz Bat'a i wielu innych.

W tym okresie w Czechosłowacji istnieje kilka grup i pojedynczych osób samodzielnie działających w dziedzinie filmu i video. Wokół Jana Rumla – (dziennikarza i sygnatariusza Karty 77) skupiła się grupa ludzi „umiejących utrzymać kamerę w ręku”, mieli oni za zadanie nagrywać drobne ujęcia – krótkie scenki z życia politycznego w Czechosłowacji, a materiał wysyłać za gra-

nicę, gdzie emigranci popularyzowali antykomunistyczny ruch oporu.

Czeniek

Akcja miała kryptonim „Czeniek” (po czesku imię Wincenty). Na początku grupa pracowała z filmową kamerą 16mm, a większość nakręconych filmów musiano wywoływać za granicą. W 1985 r. w mieszkaniu Havla pojawiła się pierwsza kamera video wybrana wspólnie przez Preczana i Janoucha w Hanowerze. „Czeniek bardzo dziękuję za dodatek do swojej zabawki – pisał pod koniec 1985r. Havel w liście do Janoucha – „Czeniek został trochę przebudowany, tworzą go dwie pary, zawsze technik i ktoś w rodzaju reżysera, jedna z dwóch będzie się poświęcać różnej działalności dokumentacyjnej z nadzieją na wykorzystywanie przez dłuższy okres,



Aleksander Dubczek i Vaclav Havel (z prawej)



skiego” typu pod nazwą „Drogeria Przeceniony towar”. Wprawdzie StB utrudniała jej egzystencję, ale publicznym wystawom w publicznym miejscu zawsze towarzyszyły 30-minutowe projekcje „video portretów” wystawiających artystów.

Z kolei techniczne zaplecze państwowej agencji reklamowej Merkuria służyło w 1987 r. do nagrywania materiałów wyłącznie na eksport dla Palach Press Centrum w Anglii. W kwietniu 1988 w Pradze miała miejsce premiera videofilmu – 130 minutowej inscenizacji sztuki Havla „Kuszenie” realizowanej w Teatrze „Na tahu”. Nakręcił ją, zmontował i reżyserował Andrej Krob wspólnie z Davidem Schmoranzem.

Wydawca czasopisma Vokno i nieregularnej ulotki „Voknoviny” Frantiszek Stark wyprodukował dwukrotnie „Videomagazin Vokna” w latach 1987 i 1988, zanim StB ukradła mu kamerę video a potem aresztowała.

Video mozaika

Jesienią 1987 przedstawiciele rozproszonych grup na kilku spotkaniach dogadali się, że wspólnie chcą wydawać i rozprowadzać na kasetach VHS regularnie 3-4 razy w roku samizdatowy audiowizualny periodyk, poświęcony nie tylko wąskiej tematyce „karciano” – politycznej, ale również kulturze alternatywnej i ekologii. Z własną pomysłową czołówką, stałymi działaniami i redakcyjnym opracowaniem przysłała grupa OVJ – Oryginalnego Videojournalu chciała przemówić do jak najszerszego kręgu osób. Mozaika o działaniach kultury drugiego obiegu miała taką formę, jaka jest podstawą telewizyjnego medium. Ludzie skupieni wokół OVJ nie uświadamiali sobie jeszcze, że właściwie próbują stworzyć konkurencyjną samizdatową telewizję. W produkcji OVJ pomagało wielu współpracowników na ochotnika. Inspiracją dla OVJ był wydawany w Londynie przez fotografa Karla Kynclę kwartalnik na kasetach VHS „Videomagazin” (ok. 120 min.) z materiałów emigracyjnych i zachodnich. Jeden raz w roku specjalne wydanie poświęcano konkretnemu tematowi wiodącemu z corocznych spotkań przed-

a druga para zajmować się będzie „zawrotnymi” aktualnościami. Nad oboma dwójkami piątą częścią „Czeńka” będzie ktoś w rodzaju koordynatora, który będzie z wami w kontakcie, który będzie wszystkim kierował, ale nie uczestniczył fizycznie. Pierwszą przesyłkę wysłamy przed Bożym Narodzeniem, mam na myśli przesyłkę z wynikami pracy Czeńka. Na razie nie będzie to doskonałe, Czeniek się na razie uczy, ale jest pojętny i wkrótce się to poprawi...”

W tym czasie powstał pierwszy filmowy dokument o Vaclavie Havlu „Listy do Olgi”, zrealizowany przez Michała Hybka – jednego z redaktorów podziemnego pisma „Vokno”, który zetknął się z Havlem w więzieniu w latach 1982/83. 23-minutowy film nakręcony w domu letniskowym Havlów na Hradeczkum pierwotnie miał być niespodzianką na 50 urodziny Havla.

Drugim centrum sztuki video było Brno, działała tam założona przez Drahosza Svatonia, (pracującego jako sprzedawca w drogerii), malarza Rostislava Pospiszila i reżysera teatru „Na provazku” Petra Oslzlega jawna galeria „pary-

stawiciele czechosłowackiej emigracji w miasteczku Franken w Niemczech, organizowanych pod patronatem kościoła katolickiego przez organizację Opus Bonum, a gromadzących ludzi o najróżniejszych poglądach.

„Oryginalny Videojournal – oryginalne rozmowy z oryginalnymi ludźmi – oryginalne spojrzenia na banalną rzeczywistość – oryginalne wystawy, teatralne inscenizacje, nagrania muzyczne, wszystko na taśmie VHS – oryginalne informacje z kraju i ze świata. który też jest naszą ojczyzną – oryginalny, ponieważ tego, czego się spodziewacie tu nie znajdziecie a wręcz przeciwnie – oryginalny, ponieważ ten Videojournal istnieje tylko w oryginale, kopiowanie i dalsze rozpowszechnianie tylko na własne ryzyko”.

Taki tekst brzmiał w czolówce. Słowo „oryginalny” miało chronić przed atakami Służby Bezpieczeństwa, ponieważ samo wytworzenie pojedynczej sztuki dzieła nie było niezgodne z prawem, nie mogło „podburzać, wicherzyć ani rozbijać”, gorsza sprawa z powielaniem i emitowaniem. W napisach zastrzegano się: „autoryzacja nie jest regułą”. Plansze z tytułami nawiązywały do ówczesnej głównej samizdatowej techniki (w Czechosłowacji – przepisywania na maszynie).

Przeszkadzała nie tylko StB. Pamiętać należy, że w tamtych latach techniczne wyposażenie „samizdatowej telewizji” było bardzo ograniczone. Na początku była tylko kamera Sony 8 i małe mikrofony na kamerze, możliwy był tylko tzw. pobieżny montaż za pomocą magnetowidu. Proste materiały kamerzyści nagrywali sami. Bardziej skomplikowane reportaże i ankiety we dwóch lub trzech z „redaktorami”. Ważne wydarzenia kręcono dwiema kamerami a pomocnik miał za zadanie operatora zasłaniać i chronić, a kasety z nakręconym materiałem wynosić w bezpieczne miejsce.

Najbardziej obawiano się o techniczne wyposażenie w czasie demonstracji. Używano np. specjalnej walizeczki z wyciętą dziurą i szkłem, aby filmować ukrytą kamerą pomiędzy demonstrantami albo trzymano urządzenie

w plastikowej torbie obiektywem do góry i kiedy było trzeba odpowiednio nakierowywano torbę. Najślawniejsze były ujęcia pokazujące aresztowania dysydenckich przywódców, twarze esbeków w cywilu i numery ich samochodów, nakręcone w styczniu 1989, w rocznicę śmierci Palacha. Nagrał je David Schmoranz przez szparę w drzwiach.

Materiał gromadzony był u Pavla Ka-

zirka, który montował go w państwowym przedsiębiorstwie handlu zagranicznego, wybierał muzykę i pisał większość komentarzy. Teksty do pierwszych wydań nagrywał Andrej Krob albo Jan Ruml, potem więcej osób. Powielaniem kasety matki zajmował się Michal Hybek. Do swojej kawalerki zwiózł 7 magnetowidów pożyczonych od przyja-



Olga Havlova „dyskutuje” z milicjantami

ciół, podłączył wszystkie razem kablem ze swoim urządzeniem, nastawił budzik i kopiował przez całą noc. Wyprodukował w ten sposób pierwszą generację chyba 42 sztuk kaset. Co najmniej 2 szły natychmiast za granicę, resztę dystrybuował w Czechach i Słowacji. Domowe projekcje odbywały się u Havla i innych intelektualistów, bywało na nich z reguły po 15 osób. Ale OVJ nie był przecież robiony dla wąskiego kręgu wtajemniczonych, przede wszystkim chciał przemówić do zwyczajnych ludzi. Żądni kultury widzowie pożyczali sobie nawzajem kasety, zwoływali przyjaciół na zbiorowe projekcje i dalej samowolnie je powielali (aż do prawie nieczytelnej piątej kopii).

Główny sens OVJ spoczywał nie w nakręcaniu unikalnych zdjęć dla historii i archiwum, ale w poszukiwaniu i zwracaniu uwagi na aktualne żywe przejawy niezależnego myślenia. Wykłę-



Scena z demonstracji w Pradze w 1989 roku

ci pisarze, naukowcy i balladziści, gwiazdy undergroundowej muzyki i politycy – dysydenci pojawiali się w domowych telewizorach. Dokumentowano również działania Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, jak spotkania na granicy i festiwal we Wrocławiu.

W czołówce OVJ filmowali swoimi nazwiskami pisarze, reżyserzy, filmowcy, dziennikarze, ale tylko te osoby, któ-

rym nic więcej już nie mogło zaszkodzić, np. Olga Havlova, Pavel Kaczirek, Andrej Krob, Joska Skalnik, Jan Ruml, Nikolaj Stanković.

Korespondencje z frontu

Od wydarzeń w styczniu 1989 polityczne napięcie rosło, kiedy więc we wrześniu aresztowani zostali Jirzi Ruml i Rudolf Zeman, a StB zaatakowała samizdatowe „Lidove Noviny”, ludzie z kręgu OVJ również spodziewali się natarcia. Sprzęt wywieziono i w częściach schowano u znajomych. Planowaną studencką demonstrację (jak się okazało – „wybuch” aksamitnej rewolucji) 17 listopada Przemysław Fialka (kamerzysta i fotograf) poszedł nagrywać sam, ale na Alei Narodowej skończyły mu się baterie. Nazajutrz ludzie z OVJ za bony od Vaclava Havla nakupili w Tuzexie kaset, żeby było na czym kręcić. Zostali „korespondentami z frontu”. U Michała Hybka powstał kryzysowy sztab kamerzystów, który działał 24 godz. na dobę, aż do strajku generalnego 28 listopada. U Jana Kaszpara zaś – centrum montażowe, gdzie montowano również nocami. Pierwsze rewolucyjne wydanie wyszło już w poniedziałek 20 listopada. W ciągu tygodnia powstały trzy kasety aktualnych „rewolucyjnych dzienników”, które zaraz puszczano na monitorach w witynach teatru Laterna Magika przy Alei Narodowej i domu, gdzie działało Forum Obywatelskie (dawna siedziba Towarzystwa Przyjaźni Czechosłowacko-Radzieckiej!), jak również rozwożono poza Pragę. W ten sposób w listopadzie 1989 OVJ przejął funkcję oficjalnej telewizyjnej informacji.

W ciągu aksamitnej rewolucji powstało w 9 wydań specjalnych OVJ, zawierających nagrania wszystkich istotnych jej momentów. Wcześniej – 7 regularnych numerów OVJ, potem jeszcze 2 programy monotematyczne. Kryzysowy sztab rozwiązał się kiedy czeska telewizja zaczęła nadawać transmisje z demonstracji i informować o wydarzeniach zgodnie z prawdą.

Wszystko skończyło się właściwie w momencie wyboru Vaclava Havla na prezydenta w grudniu 1989. Jeszcze w 1990 ukazała się 60-minutowa monografia OVJ „Kim jest Vaclav Havel”.

na podst. tekstu „Originalni Videojournal – pokus o samizdatovou televizi” Alice Ruzickovej, reżyserki, absolwentki praskiej uczelni filmowej FAMU – wybór i tłumaczenie Katarzyna Boruń-Jagodzińska fotografie ze zbiorów Alice Ruzickovej, której serdecznie dziękuję za pomoc

Magazyn Publicystyczny „Nowej” Z kamerą w Łazienkach

– Nie jest możliwy powrót „Solidarności, zwłaszcza w wersji sprzed 13 grudnia. Ale trzeba mówić o pluralizmie związkowym – Aleksander Hall.

– Jest czas przetargu, władza chce by jej coś zapłacić – Jacek Kuroń.

– Jakkolwiek jesteśmy w totalnej opozycji do władzy, gotowi jesteśmy usiąść do wspólnego stołu – Leszek Moczulski.

Wbrew pierwszemu wrażeniu, to nie głosy poprzedzające bezpośrednio obrady Okrągłego Stołu. A wszystkie przytoczone w wielkim skrócie wypowiedzi padły o wiele wcześniej, bo na przełomie 1986 i 87r. Wkrótce po amnestii i wypuszczeniu więźniów politycznych, co nastąpiło we wrze-



śniu 1986r. Polska staje się inna, Polska już jest inna, choć wtedy nie wszyscy zdawali sobie z tego tak wyraźną sprawę.

Jest jednak zapis tego czasu, dokonany przez dziennikarzy opozycyjnych. Tak jak Czesi mieli swój videojournal, tak Polacy swój „Magazyn Publicystyczny” Nowej. Na przełomie 1986/87 ukazał się przygotowany przez Marka Mądrzejewskiego i Krzysztofa Czabańskiego jego pierwszy i w zasadzie jedyny numer. 36 minut, sceny sondy kręcone w Łazienkach, wypowiedzi znanych działaczy opozycji, jak Bujak, Frasyński, czy Geremek, dziennikarzy jak Skalnik, Paszyński czy Falkowska, wreszcie sceny rejestrujące ważne wydarzenia tego czasu, a więc wyjście więźniów politycznych z aresztu na Rakowieckiej, powrót Bujaka po 5 latach nieobecności do swego domu (wzruszające powitanie z babcią i żoną), powstanie Tymczasowej Rady „Solidarności” i jawnej Regionalnej Komisji Wykonawczej „S” Mazowsza, spotkanie po latach członków i współpracowników KOR.

Były także numery specjalne, produkowane jako dodatki do Magazynu. Powstały 3, choć wywiadów przeprowadzono dużo więcej. M. in. ze Zbigniewem Brzezińskim, Leszkiem Moczulskim i ks. Józefem Tischnerem.

Magazyn i dodatki dołączane były do powielanych przez Video-Nową filmów, tak by ktoś, kto chciał zobaczyć niedostępne w Polsce „Bondy” przedtem mógł dowiedzieć się czegoś także o własnym podwórku.

Drugi numer Magazynu miał dotyczyć wizyty Papieża w 1987r. i został przygotowany prawie w całości, ale nie do końca zmontowany. Jak mówią autorzy, byli krytykowani przez szefów i filmowców związanych z Nową (obaj byli nowicjuszami w branży filmowej), choć podejrzewają, że także czas nie sprzyjał ich działalności. W opozycji wrzało, następowały przewartościowania postaw, ujawniały się różne poglądy polityczne, a ich dzieło pokazywało to bez owijania w bawełnę. To nie musiało być wygodne.

Jan Strękowski

Stowarzyszenie Wolnego Słowa istnieje od 2003r. Si zrzęsa działaczy opozycji antykomunistycznej i podziemia solidarnościowego: związkowców, członków organizacji studenckich i młodzieżowych, dziennikarzy, drukarzy, kolporterów, wykładawców oraz pisarzy, plastyków i artystów, a także wszystkich zaangażowanych w działalność na rzecz wolnego słowa w Polsce w latach 1976 – 1989.

Do najważniejszych celów Stowarzyszenie należy monitorowanie przejawów gwałcenia wolności słowa oraz pomoc osobom represjonowanym gdyby doszło do łamania wolności słowa w Polsce i za granicą.

Ważnym celem Stowarzyszenia jest gromadzenie, opracowywanie, upamiętnianie i upowszechnianie wiedzy na temat działalności opozycji w PRL w la-



stowarzyszenie wolnego słowa

tach 1976-89, a także integracja byłych działaczy podziemia oraz wspieranie tych, którzy pozostają w trudnej sytuacji bytowej. Stowarzyszenie Wolnego Słowa stara się reprezentować uczestników podziemia w kontaktach z władzami i instytucjami państwowymi, takimi jak IPN, Urząd ds. Kombatantów itp. Stowarzyszenie zajmuje stanowisko oraz współuczestniczy w tworzeniu ram prawnych lustracji, dekomunizacji oraz funkcjonowania IPN, z którym blisko współpracujemy.

W rocznicę wyborów czerwcowych organizujemy rocznicę Dni Wolnego Słowa. Przy tej okazji wydajemy poświęcone historii wydawnictw podziemnych i kulturze niezależnej pismo „Bibuła”.

Stowarzyszenie współpracuje także z wieloma organizacjami społecznymi, m.in. Klubami Gazety Polskiej, Stowarzyszeniem „Pokolenia”,

Co zrobiliśmy?

W roku 2006

W **styczniu 2006 r.** zorganizowaliśmy w Sejmie RP pierwsze od 1989 r. spotkanie uczestników ruchu „Wolność i Pokój”. Także w styczniu 2006 r. wraz z Media Kontakt ogłosiliśmy konkurs na projekt filmu dokumentalnego nt. „Komitetu Samoobrony Społecznej KOR”. Pierwszą nagrodę otrzymała Maria Zielińska, wyróżnienie – Ewa Borzęcka. Film, zrealizowany na podstawie zwycięskiego scenariusza, został wyemitowany we wrześniu 2006 r. przez TVP.

W **lutym i marcu 2006** odbyły się kolejne wspólne spotkania z Instytutem Pamięci Narodowej na temat opracowania „Ketman i Monika – żywoty równoległe” oraz nowelizacji ustawy o IPN. Także w lutym w Łodzi zorganizowaliśmy wspólnie z NZS obchody 25 – lecia strajków łódzkich, które doprowadziły do rejestracji NZS w 1981 r. W marcu natomiast współorganizowaliśmy koncert na rynku Nowego Miasta w Warszawie z udziałem muzyków białoruskich i polskich (transmitowany na żywo w TVP) wspierający opozycję białoruską na tydzień przed wyborami prezydenckimi na Białorusi.

Od **maja 2006 r. do końca grudnia 2006 r.** Stowarzyszenie realizowało projekt Słownik „Niezależni dla kultury 1976 – 89”. Zebraliśmy już 6 tys. not biograficznych, które zamieszczone są na naszej stronie internetowej. Projekt dofinansowało Narodowe Centrum Kultury.

Na **przełomie maja i czerwca 2006 r.** zorganizowaliśmy, podobnie jak w ubiegłych latach „Dni Wolnego Słowa”, w ramach których odbyła się m.in.: wystawa druków niezależnych z Polski i innych krajów Europy Środkowej w Bibliotece Narodowej, wystawa sztuki niezależnej w Domu Kultury Śródmieście, konferencja naukowa pt.: „Wolność słowa a demokratyczna kultura polityczna” na Uniwersytecie Warszawskim. „Dni Wolnego Słowa” objął patronat honorowy Marszałek Senatu RP Bogdan Borusewicz, Minister Spraw Zagranicznych oraz Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wydaliśmy także 4 numer „Bibuły”, publikacji zawierającej relacje dawnych działaczy opozycji i podziemia solidarnościowego. Obchody, tak jak w poprzednich latach, były dofinansowane przez m.st. Warszawę. W ramach „Spotkania po latach” zorganizowaliśmy dwa koncerty okolicznościowe utworów powstałych w kręgu kultury niezależnej w latach PRL. W programie znaleźli się występ młodych artystów interpretujących piosenki Bardów oraz występ Magdy Umer. Imprezy dofinansowało m.st. Warszawa.

W **II połowie czerwca 2006 r.** współorganizowaliśmy festyn w 30 rocznicę wystąpień robotniczych w Ursusie, a także sesję naukową przypominającą wystąpienia robotnicze w czerwcu 1976 oraz pomoc represjonowanym robotnikom. Imprezy dofinansowało m.st. Warszawa i NCK.

Od **wrzesnia do końca grudnia 2006 r.** Stowarzyszenie realizowało projekt, który miał na celu zebranie i opracowanie 600 not biograficznych wybitnych działaczy opozycji antykomunistycznej i podziemia solidarnościowego z regionu łódzkiego. Noty te zostały zamieszczone na naszej stronie internetowej. Projekt dofinansowało Miasto Łódź.

W **dniah 22 – 24 września 2006 r.** pod honorowym patronatem Prezydenta RP zorganizowaliśmy uroczyste obchody 30 rocznicy powstania Komitetu Obrony Robotni-

Książka o warszawskim podziemiu

Książka jest owocem badań socjologicznych, przeprowadzonych wśród warszawskich kolporterów aktywnych w okresie stanu wojennego.

Nie traktuje ona solidarnościowego podziemia jako zjawiska historycznego. Chodzi o to, by spojrzeć na dawnych ludzi podziemia i wyznawane przez nich wartości z punktu widzenia roli, jaką mogłyby odgrywać dzisiaj. Dlaczego Polska, która w ostatnich latach komunizmu tak wspaniale wyróżniała się spośród innych krajów bloku pod względem obywatelskiej aktywności i siły dążeń wolno-

ściowych, nie potrafiła wykorzystać tego społecznego kapitału do budowy efektywnej demokracji? Co spowodowało, że tradycje demokratycznej opozycji i „Solidarności” w tak nikłym stopniu odcisnęły swe piętno na kształcie polskiego życia politycznego? Dlaczego dawni działacze podziemia pozostają dziś nie mniej anonimowi niż byli w czasach konspiracji?

Na książkę składają się artykuły Adama Mielczarka (red.), Aleksandry Domańskiej, Jana Strękowski i Pawła Swianiewicza. Wydawcą jest Stowarzyszenie Wolnego Słowa. Można ją zamawiać za pośrednictwem stron internetowych SWS, jest też dostępna w księgarniach.

Ważnym fragmentem naszej działalności jest współpraca z działaczami opozycji kra-

jęw, które jeszcze dziś pozostają pod rządami totalitarnych dyktatur. W **dniah 28 i 29 października 2006 r.** współorganizowaliśmy w Warszawie konferencję „CHLEB i WOLNOŚĆ”, której celem była prezentacja sytuacji w Wietnamie oraz przedstawienie działań opozycji demokratycznej w tym kraju w kontekście nasilającej się fali społecznych protestów. Powołany został wietnamski Komitet Obrony Robotników. Wspomagamy opozycję na Białorusi, Kubie, w Kazachstanie, Czechenii i innych krajach. W 2007 r. zorganizujemy światową konferencję opozycji z krajów, gdzie do dziś rządzą komuniści. Spłacamy w ten sposób dług, który zaciągnęliśmy w Wolnym Świecie w latach 70 i 80.

Stowarzyszenie zrealizowało film dokumentalny pt.: „Kazimierz Pułaski – bohater dwóch narodów”. Finansowo wspomogło nas Ministerstwo Obrony Narodowej.

Od **połowy 2006 r.** Stowarzyszenie trwało przygotowania (remont) nowej siedziby Stowarzyszenia w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 7. Dofinansowanie przez MKiDN.

W roku 2007

W **marcu br.** Stowarzyszenie Wolnego Słowa zorganizowało obchody 30. rocznicy powstania Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W programie obchodów m.in. konferencja na UW, otwarcie wystawy poświęconej ROPCio przy ulicy Chmielnej w Warszawie,

koncerty okolicznościowe, spotkanie uczestników Ruchu z Marszałkiem Sejmu w Sali Kolumnowej Sejmu RP. Współorganizatorami obchodów byli m.in.: Kancelaria Prezydenta i Kancelaria Senatu RP, KARTA, IPN. Imprezy dofinansowane przez m.st. Warszawę.

W **kwietniu br.** Stowarzyszenie Wolnego Słowa wspólnie z Instytutem Paderewskiego, oraz International Society for Human Rights zorganizowało seminarium „Prawa człowieka we współczesnym świecie”.

W **maju br.** odbyła się inauguracja działalności i otwarcie pierwszej wystawy Galerii Wolnego Słowa w lokalu Stowarzyszenia Wolnego Słowa. A w końcu maja br. z okazji rocznicy pierwszej audycji Rozgłośni Polskiej RWE Stowarzyszenie Wolnego Słowa i Dziennikarze RWE zorganizowali spotkanie „RWE w polityce polskiej i międzynarodowej”.

Wydawnictwo przygotowane przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa.

Redakcja: Jan Strękowski, Małgorzata Zaremba, Katarzyna Borui-Jagodźńska, Jacek Głównyński

Redakcja dziękuje za udostępnienie materiałów autorom i rozmówcom oraz Hannie Łukowskiej-Karniej, Kornelowi Morawieckiemu, Erazmowi Cielkowi i Jolancie Górniewicz. Szczegółne podziękowania należą się towarzyszom sztuki drukarskiej z drukarni „Efekt” - Janowi Piotrowskiemu i Tadeuszowi Martkiewiczowi.

Dziękujemy również wszystkim tym, o których mogliśmy w tej „Bibuł” napisać.

STOWARZYSZENIE WOLNEGO SŁOWA

Siedziba: ul. Wilcza 12c, 00-532 Warszawa

Nr konta: PKO S.A. 09 1240 1024 1111 0010 0741 3451 (wpłaty prosimy opatrzyć dopiskiem 'składka' lub 'datek') – częściowo wypełniony, gotowy do druku blankiet wpłaty znajduje się na stronie internetowej: www.sws.org.pl. Adres e-mail: sws@sws.org.pl.

Miejsce i godziny pracy sekretariatu SWS: 00-626 Warszawa, ul. Marszałkowska 7, tel. 022 405 66 30, w godzinach 10-18.